

Wilczyński Albert

OPIEKUNOWIE WADOWCA

Przyjacielowi mojemu umarła żona. Zdaje się że nic nadzwyczajnego śmierć żony ; wypadki takie zdarzają się codziennie, o których znajomi i przyjaciele pogawędzą czas jakiś litując się nad biednym wdowcem, a jeszcze bardziej osieroconą przez śmierć matki rodziną. Inna rzecz w kółku najbliższej zainteresowanych, do których zalicza się zwykle stara i młoda kobieca gwardya z familii wdowca i zmarłej małżonki; tu przyostatniem westchnieniu nieboszczki, zaczyna się niezwykły ruch językowy i suszenie głów na temat:

— Co też ten biedny człowiek będzie robił teraz bez żony?

Dziwna w tym względzie panuje solidarność między kobietami, powiedziałbym rodzaj jakiejś zмовы naturą czy zwyczajem uświęconej, że mężczyzna który już raz miał ten wypadek być pod ich władzą, uważa się odtąd za ich własność, a zatem i przyszłe jego losy spoczywać powinny w ich rękach.

Z początku litując się nad jego położeniem — radzą z duszy i serca, gdy to nie pomaga — gniewają się; jeżeli i to nie skutkuje — rozporządzają się za niego; a wreszcie gdy poważy się stawiać opór — intrygują, męczą biedaka, dokuczają, grożą, aż zniecierpliwiony, znudzony, zrozpaczony oddaje się w ich ręce:

— A róbcie sobie co chcecie, tylko mi dajcie święty pokój!

Widzę już zachmurzone twarze pięknych czytelniczek po tej apostrofie: Autor widocznie postanowił sobie nam dokuczyć. Prawda, rzeczywiście wzięła mię ochota choć raz na papierze pokazać cywilną odwagę, będę walczył do upadłego, lecz tylko — na papierze.

Nie jeden z mężów podobnej jak ja odwagi, przykłaśnie mi w duchu, kontent że znalazł się drugi on — nieszczęścia lubią mieć towarzystwo; więc choć znudzi go trochę drobnostkowe przedstawienie tych żeńskich zapasów, będzie czytał do końca i powie czasami do żony czy matki:

— To tak jak ty Maryniu....

Mój przyjaciel, obywatel wiejski, z chwilą śmierci żony miał lat trzydzieści pięć, wieś nie bardzo obdłużoną, charakter jak dotąd posłusznego i łagodnego męża, a przytem pięcioro dzieci, z których najstarsza Jadwinia liczyła lat trzynaście, a najmłodsza — cztery.

Do sztabu głównego tych gwardyj opiekuńczych biednego wdowca należały głównie dwie matki: jego, babcia Petronela blisko siedmdzie- sięcioletnia staruszka, żywa, gadatliwa, dawnej daty gospodyni wiejska; druga matka zmarłej żony, kobieta z większego miasta w średnich latach, mająca niezapreczoną wyższość towarzyską i majątkową przed pierwszą, tembardziej że zmarła córka wniosła dość znaczny posag dzisiejszemu wdowcowi.

W pomoc babci Petroneli szła głęboka miłość synowska wdowca, pana Bolesława, i starsza zamężna jego siostra energicznej postawy brunetka; stronę znów babci Zofii, nazwanej przez wnuki babcią z miasta, trzymała jej kuzynka wdowa po doktorze medycyny wraz z córką — druga córka babci Zofii również zamężna notaryuszowa, której mąż jako człowiek niezwykłego rozumu i powagi, był totumfackim familijnym i ostateczną w interesach wyrocznią.

Neutralnymi w tej sprawie byli: teść Anzelm wesołego humoru starowina, który w zięciach swoich widział ludzi z tęgiemi głowami a zatem mogących się obejść bez jego pomocy — i szwagier Jacenty szlachcic, dzierżawca większego majątku, gospodarz zawołany, który niczego nie odmawiał żonie prócz koni i powozu do wyjazdu.

Uporządkujmy więc jako tako te zastępy: Wdowiec sam, pan Bolesław, matka jego, babcia

i*

Petronela, siostra, Urszula Piwońska z mężem Jacentym — strona jedna. Pomijam tu wyrażenie strona prawa, czy lewa, bo by mię czytelnicy gotowi posądzić o stronność, zważając że na sądzie ostatecznym prawa i lewa strona mieć będzie wcale odmienne dla podsądnych znaczenie. Do drugiej zatem strony zaliczymy babcię Zofię radczynię, matkę zmarłej, kuzynkę wdowę po konsyliarzu Ludwikę z dorosłą już córką Kłocią, notaryuszową Lucynę, działającą przez pełnomocnika swego i męża pana Andrzeja.

Jak w pomoc babci Petroneli szła miłość synowska Bolesława, tak znów babci Zofii szła miłość wnucząt, za którą biedne sieroty przepadały. Niepoślednim wreszcie argumentem na stronę babci z miasta była ta okoliczność, że Bolesław czuł się winnym śmierci żony, a winą tą był piec w sypialnym pokoju we dworze Skalic.

— Widzisz Bolciu — mówiła mu nieraz łagodnie pani Zofia Klingerowa — żebyś mię był słucał i sprowadził porządnego majstra z Krakowa, a nie jakiegoś wiejskiego partacza, piec nie byłby się przewrócił i Rózia nie zaziębiła.

— Ona proszę mameczki już miała usposobienie do suchot...

— Wierz mi, że nie; z naszej familii nikt nigdy nie umarł na suchoty, ale biedna kobieta przelekała się gdy piec runął w nocy, zaziębiła się,

dostała zapalenia płuc i dalej wiesz...biedne dziecko!

— Patrz, jakie ja mam płuca — wtrąca dziadzio Anzelm wątłej i szczupłej kompleksy kaszłący staruszek, bijąc się ręką w piersi — to miechy nie płuca, mówię ci miechy...

— Prawda — odpowiada z pokorną miną Bolesław — być może, jestem winien...

— Już to przyznam ci panie Bolesławie, masz głowę do wszystkiego — tylko nie do pieców;..

Nieszczęśliwy wdowiec był przekonany, że zabił żonę, przy każdej więc wzmiance o tym piecu spuszczał głowę z pokorą, całował ręce babki i przyrzekał że co się tyczy wychowania sierót, również delikatnego zdrowia, kierować się będzie doświadczeniem najukochańszej mamy.

Choroba nieboszczki żony trwała rok cały, przez ten czas zarządzała domem i gospodarstwem babcia Petronela z ekonomem Owsieńskim, i właśnie gdy się powieść nasza zaczyna, widzimy ich zebranych na naradę w gabinecie pana dziedzica Bolesława.

Ł

Rządy babci Petroneli.

Działo się to w parę tygodni po pogrzebie, na początku kwietnia, jak powiedziałem w kancelaryi pana Bolesława. Siedzi on w fotelu przy biurku, przewracając przyniesione przez ekonoma rejestra gospodarskie, obok na szeslongu matka jego babcia Petronela dłubie jakąś pończoszkę, ale robota idzie nie sporo, druty się plączą, kłębek z bawełną, co chwila stacza się z kolan na ziemię, okulary spadają z nosa, a mimo to staruszka zwraca baczna uwagę na rozmowę syna ze stojącym przy drzwiach Owińskim.

— Najlepiej wielmożny panie tych żydów furt wynieść ze wsi. Co z nich jest? Tylko szkody, szachrajstwa z ludźmi...

— Hm — wtrąca uśmiechając się podejrzliwie babcia — musiał Owińskiemu coś Berek zawinić, kiedy tak na niego nastaje; a podług mej rady bez pachciarza na wsi trudno się obejść...

— Czy ja pytałem pana o radę, co robić z Berkiem? — rzecze oglądając się na ekonomę Bolesław — jak mi będzie dogodnie to zostawię Berka, a nie to nie....

I znowu przerzuca karta za kartą rozłożone przed sobą papiery i kiwa głową wzdychając i notuje coś ołówkiem.

— Wolna wola wielmożnego pana; mnie to ani grzeje ani parzy. Niech będzie we wsi rozpusta i „zmoralizowanie”... Bogiem a prawdą rzekłszy, już ten Chaimek z Luboni daleko porządniejszy.

— Mój Owskiński — przerywa mu babcia — wiecie, że syn mój nie lubi, aby się wtrącać do jego czynności. Ja choć matka jestem, to widzi Owskiński, kiedy wiem o tem, to się i słowa nie odezwę...

— Więc podług rachunków pana — rzecze kładąc ołówek dziedzić — w spichrze nie mamy nic do siewu. Owsa dwa korce,

— I garncy jedenaście proszę wielmożnego pana.

— Kartofli jeden kopiec... — mówi dalej Bolesław.

— I to nie wiem czy pewny... — dodaje ze smutną miną ekonom.

— Dlaczegoż nie ma być pewny?

— Wiadomo wielmożnemu panu, że składało go się za mokra....

— A któż to tak robi? — wtrąca schylając się po kłębek staruszka — jakież to z waćpana gospodarz!

— Na jesieni łało ciągle, i prawdę powiedziawszy co nie jest grzechem, trzeba było kraść z pola.

Dziedzic tylko się uśmiechnął ironicznie, jakby chciał powiedzieć: „pan właśnie to najlepiej umiesz* — a Owsiański mówił dalej:

— Barometr pokazywał na pogodę.

— Tyle razy panu już mówiłem — przerywa dziedzic — że we wrześniu barometr fałszywie pokazuje...

— A tu i wtenczas był największy rozgoń na konie, to po doktora, to po lekarstwa, to po panią starszą, to po drugą — mróz groził i schowało się jak można.

Dziedzic tylko machnął ręką i znowu wziął się do przeglądania drugiej pokratkowanej jakiejś książki, a babcia tymczasem wyłożyła Owsiańskiemu cały kurs manipulacji przy chowaniu do kopców kartofli.

— U nieboszczyka męża, to się naprzód wbijało trzy kołki w środek tak na dwie pięćdzie jeden od drugiego — peroruje dalej starowina wstając z szeslonga i pokazując ręką na podłodze jak powinny być powbijane te pale....

— Moja mameczko, to już mama to później Owsiańskiemu pokaże — przerywa niechętnie Bolesław — mnie teraz idzie o to, co ja mam z za

pasów. Zaglądałeś pan do środka tego kopca, jakże tam są te kartofle?

— Prawdę powiedziawszy to nie było na to czasu: zresztą przymrozki jeszcze są, a i ta z przeproszeniem gadzina, jakoby poprostu mówiąc bezrogie, gotowe się tam dobrać...,

— A przez luft to nie można zobaczyć? — pyta babcia.

— Nie ma żadnego luftu — odpowiada ekonom.

— I jakże chcesz żeby nie zgniły? — mówi z tryumfem obracając się do syna — u nieboszczyka męża zbijało się cztery deszczułki, niby rurę.. ot uważasz asan tak na kant — mówi dalej biorąc drut w usta, a rękami pokazując kształt owej rury.

— Moja mamó, na co się to zdało dziś go uczyć, jak u naszego ojca robili.

— Niech by przynajmniej wiedział na drugi raz jak trzeba...

— Daj Boże, żeby ja w moim majątku tyle miał złotych, ile ja już nastawiał kopców bez luftów, i jak nie miały zgnieć to, nie zgniły.

— To też to, że wy wszyscy nie chcecie słuchać starszych, ale po swojemu na nowe rozumy — tak też i wszystko macie. I cóż ty mój synu będziesz robił bez kartofli?

— Kupi się — odpowiada lakonicznie dziedzic.

— Tak, najlepiej, wszystko kupować... Zobaczysz jak ty wyjdiesz z tem kupowaniem. U nie

boszczyka męża była zasada: wszystko sprzedawać a nic nie kupować.

— Ależ mój Owsiniński — rzecze Bolesław nie- zważając na gadanie staruszki — dyabłoś mi pan przez tę zimę gospodarował!... Do siewu zboża nie ma, paszy nie ma, bydło zagłodzone, woły nie mogą wstawać, konie ustają — uprząż w kawałkach...

— Prawda, wielmożny panie — odpowie z ciężkiej® westchnieniem Owsiniński — jedno nieszczęście nigdy samo nie przychodzi, ale jak się zaczęły sypać i sypać na człowieka... I przeszłego roku u mnie, jak padła ta boczasta jałowica na ocieleniu.

— Ta co się to pasła w nocy po koniczynach...

— Bogać się tam pasła, wielmożny panie, to tylko złe języki tak mię ocenzuowały, ale jak rzekłem że padła, to i moja kobieta dostała zaraz „frybry”, i mnie napadł ten ból w krzyżach...

— Gdzieżeś pan mógł wypaść tyle owsa? — pyta chodząc po pokoju zafrasowany Bolesław.

— Wydało się dla koni, wielmożny panie. Taki rozgoń dzień w dzień, a to doktory, a zjazdy, albo nie szukając daleko ten pogrzeb... — dokończył zrobiwszy płacziwą minę...

— Et mój Owsiniński, toć i ja umiem rachować. Pan mi tylko rozjazdami zamydlasz oczy, a to pana krowy jadły snopkami owies, i gdy moje nie

mogą wstawać, to pana wyglądają jak splawy...

Nie bój się, wiem ja o wszystkim...

— A bodaj temu kołkiem język stanął!— zawołał czerwieniąc się ekonom — który rzucił na mnie taką kaluminię. Moje krowy jadły owies,, a bodaj on jutra nie doczekał, bodaj się dziś jeszcze udławił, kiedy będzie pożywał dary Boże... To dopiero ludzie! Caluteńką zimę moja żona prawdę powiedziawszy to od gęby sobie odejmowała, aby tylko wetknąć coś temu bydłęciu, to obierzyn- kę jaką, to pomyje... No i żyjże tu teraz na świecie!... ja owies dawał krowom!...

W tej właśnie chwili wbiega do pokoju ośmioletnia Wandzia w czarnej żałobnej sukience, zapraszając ojca na śniadanie. Dziewczynka na te lata zanadto wątła i bladziutka, rozplecione włosy spadają jej na twarz w nieładzie, sukienka wisi na niej jak worek, szyja bez kołnierzyka, jeden trzewik bez obcasa, pończoszki bez podwiązek...

Bolesław jednym rzutem oka obaczył ten nieład w ubraniu dziecka, pogłaskał ją po głowie i westchnął ciężko odsłaniając z włosów zakryte oczy.

— Moja mammo, czemu też tego dziecka nie ubiorą porządnie...

— To ta nicpotem Nastusia temu winna! — odzywa się babcia rachując głośno przy spuszczeniu — cały dzień wołam, ubierzcie, umyjcie i myślisz, że słuchają?

Opiekunowie wdowca.

— Proszę tateczki — rzecze Wandzia — cliciała nas umyć, ale nie ma miednicy, wszystkie się stłukły.

— No widzisz, upilnuj że tu — przerywa matka. — Mówię ci, wszystko tak wytłuki, że ani szklanki, ani spodeczków, ani talerzy. Cały dzień krzyczę, wymyślam i nic nie pomaga...

— To tak i u mnie proszę wielmożnego pana, rychtyk tak — rzecze sensacyjnie Owskiński. — Już takie zepsucie między tym ludem teraz, że niech Bóg święty zachowa i broni. Nic się nie boją..

— Bo czy nie lepiejby było, aby mameczka zamiast dłużyć te pończochy i zajmować się folwarkiem, częściej zajrzała do dzieci, do kredensu...

— Cóż ty myślisz, że pończoszki to mało kosztują? Mówisz że ja dłużyć, ale zrobiłam jednak przez zimę sześć par...

— Wolałbym kupić takie rzeczy...

— Tak, kupić, wszystko kupić, a zkażde to będziesz brał na wszystko pieniędzy? U was dziś to tylko kupować z miasta. Mnie przecież nie nowina gospodarować na wsi, wychowałam was kilkoro i jakoś wszystko było w porządku, ale mnie też słuchali w domu.

— Dlaczegoż teraz nie słuchają? — pyta syn idąc do jadalnego pokoju.

— ■ Dlaczego? — odpouiida idąc za nim — oto dlatego, że sam pan dziedzic nigdy się słowa

nie odezwie, dlatego że jak przyjedzie babcia Klin-gerowa, to nabuntuje tylko sługi, nakrytykuje, że ja nie umiem rządzić, że na niczem się nie znam...

— Eh, moja mamó, to plotki tylko...

— U ciebie wszystko plotki, co ja mówię: ale spytaj Nastusi, spytaj Ignacego kucharza, spytaj najstarszej córki swojej, to ci powiedzą, czy nie prawda: „G-ospodaruje po dawnemu, zdaje jej się, że to jeszcze pańszczyzna, a to myśli tylko o płótnach, o pierzu, o sadzeniu kaczek... ot widzisz !...”

— Może i ma rację...

— Ot masz — dodaje z gniewem już staruszka. — U ciebie zawsze tamta strona ma rację, a stara matka co cię wychowała, to do niczego. Poczekaj, poczekaj jak ja wyjadę do córki, jak ci to tu będą inni rządzić... Tak, będziesz kupował z miasta... zobaczmy na jak długo to wystarczy.

Śniadanie nie obyło się bez przypadku: Adol-fek dokazując wylał talerz gorącego mleka na ręce Lucynki — wszczął się hałas, krzyk, bieranina. Babcia nie mając okularów zamiast soli zasypała oparzenie pieprzem, a wszystko to, jak również straszliwy nieład w pokoju, nieład w nakryciu i zepsuta szynka, którą podano do stołu, nadzwyczaj drażniło lubiącego spokój i znękanego wdowca—

— Tej szynki jeść niepodobna — rzecz składając nóż i widelec na stole. — Wczoraj było toż samo z jedną, dziś z drugą. Proszę mamy czy warto przygotowywać w domu takie rzeczy, jak nie ma komu... szkoda mięsa, szkoda przyprawy.

— No trochę czarna w środku — mówi przyglądając się przez okulary staruszka — ale temu wszystkiemu to tylko ta waryatka Nastusia winna .. Mało leżała w soli; mówię jej, nie wyjmuj do wędzenia, ale ona powiada: nie potrzeba, nie potrzeba już się nasoliła... Namówiła mię i kazałam wyjąć..-

— Wygląda jakby ugotowana, czy upieczona...

— To znowu Malinowski stróż winien kiedy tak! — zawoła babcia ponawiając rewizję szynki. — Niezawodnie walił jałowiec przy wędzeniu, ogień był za silny, i ugotował ją ten głupiec zamiast uwędzić. No i patrzajże, co tu robić z ta- kiemi ludźmi! Proś go, błagaj i zaklinaj... a oni swoje...

— Toteż najlepiej dać pokój temu wszystkiemu...

— Dlaczego dać pokój, cóż to ja nie umiem przyrządzać szynki czy co? Pamiętasz jak przyjeżdżałeś na święta wielkanocne, jakie to u mnie bywały szynki!... Odjeść się wszyscy nie mogli.

— Mamie już ciężko...

— Wiem, wiem, chciałbyś się mnie pozbyć — przerywa z wyrzutem babcia. — Nagadali ci tam u Klingerów i wszystko ci źle... Ja też pojadę,

nie bój się, pojedę, już pisałam do zięcia, żeby przysłali konie...

— Ale pocóż mama ma jechać? — rzecze łagodnie syn całując ją w rękę — tylko rzeczywiście mamie już ciężko zajmować się gospodarstwem; niech sobie mameczka siedzi jak najdłużej, a ja muszę kogoś wziąć do dzieci. Od roku prawie nic się nie ucą.

— I kogoż myślisz? — pyta ciekawie staruszka.

— Jeszcze nie wiem — odpowiada spuszczać oczy. — W niedzielę ma tu przyjechać matka żony, zrobimy naradę wspólnie...

— Ja się tam nie chcę do niczego mieszać... nie, nie, nie, ja już stara i głupia, a tamta z miasta wielka pani... dajcie mi pokój...

I nie czekając dalszych pers wazy i, widocznie obrażona, wybiegła z pokoju zdążając przez dziedziniec do oficyny. Po drodze zatrzymała się przed rąbiącym drzewo Malinowskim i wywarła na nim cały gniew wymyślając, że zepsuł szynki. Biedjy Malinowski trochę już idyota ze starości, słuchał, słuchał z otwartą gębą, trzymając w jednej ręce czapkę a w drugiej siekiere, nie mogąc zmiarkować, czego chce od niego pani starsza — a gdy skończyła się perora i babcia odeszła — nakrył głowę i rąbał dalej powtarzając za każdym uderzeniem siekiery miarowe stękanie ech, ech, eph!

— Jaki jeszcze hardy ten niedołęga! — rzecze wpadając do kuchni pani Petronela — widzisz

gi, tymczasem serce mu drgnęło przeczuwając w niej przyszłą opiekunkę.

— Kochana Ludwika — mówiła dalej babcia — sama owdowiała wcześniej, i pracując na utrzymanie swoje i córki, trudniła się wychowaniem dzieci po większych domach...

— Bardzo wdzięczny będę szanownej pani — rzecze Bolesław, przysuwając ku niej swe krzesło — jeżeli raczysz przyjść mi z pomocą.

Pani konsyliarzowa ukloniła się wdzięcznie, przyciągając do siebie Wandzię, którą ucałowała z rozrzewniającym uczuciem.

— Znasz Klocię, córkę pani konsyliarzowej ?

— Nie mam przyjemności.

— Bardzo miła i dystygowana panienska — już od roku jest guwernantką na Wołyniu, pamiętasz przed dwoma laty była u nas na wieczorze, blondynka, szczupła.

— Była dzieckiem — odzywa się konsyliarzowa, pilnie obserwując każdy ruch twarzy wdowca, który czując to szczególniejsze badanie, tembar- dziej wypierał się znajomości panny Klotyldy.

Trzeba przyznać, że pani konsyliarzowa, dobrej tuszy i rumiana, surowych rysów matrona, po bliższem rozpatrzeniu się w towarzystwie, stawała się nadzwyczaj delikatną i uprzejmą kobietą. Wszystko i wszyscy byli u niej dobrzy, przyjemni i szlachetni, komplementa płynęły jej z ust razem z miarowem wdychaniem powietrza.

— Jakże tu u pana pięknie! — zawołała, spoglądając przez okno na wylażące z pod śniegu klomby. - Jaki cudowny widok, prawdziwa Sz waj, carya... A i dom wesolutki, pokoje czyste, przyjemne.

— A widzisz Bolciu — przerywa uszczęśliwiona babcia Petronela — że tu u nas nie jest tak źle, jak ci się zdaje. Muszę pani powiedzieć, że mój syn, to lubi tylko gderać, utrzymując, że zaniedbaliśmy porządek w domu.

— Nie obmawiaj mi pani zięcia — wtrąca babcia Zofia całując go w czoło.

— Szczęśliwy z pana człowiek, mając dwie tak kochające go matki — rzecze pani konsyliarzowa.

— Nie ma takiego drugiego na świecie jak mój Bolcio, to anielskiej łagodności cliłopczyzna...

— Lubi gderać, oj lubi — dodaje babcia Petronela — dziś rano wykrzyczał mię.

— Moja mamó, gdzieżbym ja mógł?

— Pamiętasz, za pończoszki dla dzieci, za szynkę, za Nastusię... Okropnie lubi wydawać pieniądze, a ja znów wstrzymuję go jak mogę.

— Gdzie on tam wydaje — broni babcia z miasta — on taki oszczędny, skrupulatny...

I na tym punkcie wad i przymiotów wdowca, wszczęła się powszechna rozmowa kobiet, które mimo małej opozycji ze strony starej matki, uznały, że nie ma lepszego, rozumniejszego i przyjemniejszego mężczyzny, jakim jest pan Bolesław. Pani

konsyliarzowa była zachwyconą i nie ustawała w adoracji wszystkiego; dzieci znajdowała prze- ślicznymi, Adolfek wyglądał na amotka z obrazu, płótna babci Petroneli były holenderską webą, nawet zepsuta szynka wyśmienita...

Po obiedzie wkancelaryi dziedzica, nastąpiła poufna narada jego z babcią Zofią,

— Jakże ci się podoba Ludwika?

— Bardzo przyjemna osoba...

— Powiem ci prawdę, chcę ci proponować, abyś ją wziął do dzieci. Kobieta dobra, zna świat, i potrafi ci prowadzić dom przyzwoicie, z taktem...

— Może wielka pani — bąknął Bolesław — a my tu żyjemy skromnie jak mama wie...

— Ale gdzież tam, to ci się zdaje... doznała już nieraz biedy i wie, jak się zastosować.

Wolałbym wziąć jaką nauczycielkę fachową, dzieci potrzebują nauki.

— Mówię ci, ona wysoko wykształcona osoba, posiada język francuski, gra na fortepianie.

— Może wymaga wielkiej pensji, a ja nie mogę... — broni się wdowiec, lękając się wprowadzać do domu taką poważną osobę.

— I to nie, mówiłam z nią przez drogę, byłaby za sześćset reńskich rocznie. Posłuchaj mię Bolesiu, ty nie możesz brać pierwszej lepszej guwernantki, dziewczęta twoje prócz nauki potrzebują matki, dom gospodyni...

— Moja matka mogłaby zarządzać...

— No daruj Bolciu — odpowiada przekonywująco babcia — ale sam przyznasz, że twoja matka bardzo starego fasonu kobieta, jest w wieku i ni© potrafi kierować wychowaniem dzisiejszym panienek. Zresztą zostaw jej zarząd domu, a konsyliarzowa niech robi honory, niech zastąpi panią...

— Nie zgodzą się razem, będę miał od rana do nocy kwasy, wymówki, złe humory...

— Próżno się obawiasz; Ludwika ma takt, nie będzie się wtrącać do jej zarządu... Wierz mi, lepszego wyboru nie można zrobić — jest trochę krewną twoich dzieci i takeśmy uradzili wszyscy... Posłuchaj mię Bolesiu, ja proszę o to...

Długo jeszcze szanowna matrona kładła mu w głowę wszystkie dobrodziejstwa, jakie mu przynosi z sobą pani konsyliarzowa; co to on na tera zyska, że nie będzie miał młodej guwernantki w domu, która mogłaby mieć pretensje do jego osoby, jak to zwykle bywa u wdowca.

— A wierz mi, niczego się tak nie boję, jak tego, żebyś ty się drugi raz z byle jaką nie ożenił... biedne byłyby te dzieci z macochą.

— Dziwię się, że mama może to przypuszczać — odparł energicznie Bolesław.

— Zdarza się to na świecie, mój drogi, wy mężczyźni jesteście bardzo łatwowierni. Trafi się taka, co potrafi cię ująć... Wiem ja wiem, jak te guwernantki umieją łapać...

Bolesław jednak nie ustąpił odrazu, strach przed nową panią w domu dodał mu odwagi, żądał czasu do namyslenia się i na tem ukończono pierwszą naradę.

Babcia Petronela tylko czatowała, skoro Klingerów a wyjdzie z jego gabinetu aby się tam dostać.

— No i cóż postanowiliście, mój synu ? — pyta zasiadając na szezlongu i wyjmując zapasowy drut z włosów.

— Prawie nic.

— Bądź że też ostrożnym, moje dziecko — rzecze niezadowolona z odpowiedzi syna — i nie bierz byle kogo...

— Dla czegoż mam brać byle kogo — mówi rozdrażniony tym egzaminem Bolesław.

— Oni z miasta, to inaczej te rzeczy widzą, i gotowi ci narzucić jaką wielką panią, jak na- przykład konsyliarżową — kończy spoglądając mu badawczo w oczy.

— Cóż mama tak złego w niej widzi ? Grzeczna, przyjemna kobieta.

— O mój drogi, znam ja się na takiej słodyczy i grzeczności — rzecze uśmiechając się z zarozumiałością babcia — okropnie ciekawa, obeszła już cały dom, zajrzała do szaf, do szpiżarni, do kuchni, podnosiła nawet kołdry na łózkach...

— Zkąd że mama wie o tem ?

— Mówiła mi Nastusia, że pytała ją co pan lubi, czem się cały dzień zajmuje, a jaka pani Opiekunowie wdowca.

starsza, ile mamy srebra, ile talerzy... czy dzieci nie chorowite...

— Plotki tylko, plotki — ta Nastusia nieznośna jest z temi nowościami.

— Nie mój synu, mówiła nawet, że jak ona tu będzie, to musi być inny porządek w domu, że przyjmie lokaja...

— Jak to? już tak rozporządza, kiedy jeszcze nie wie czy ją wezmę? — spytał żywo stawając przed matką Bolesław — wyborna!

— Widać musi być pewna skoro tak się rozpościera. Bo widzisz mnie tam wszystko jedno, niech tylko pokończą mi prządzenie i płótno wyrobiją, to sobió pojadę do Urszulki. Co mi tam na starość po pani... Ale ty biedaku będziesz nieszczęśliwy z taką damą... Nasprowadza ci gości, i od rana do nocy nie będziesz miał wolnej chwili odpoczynku... potem będzie chciała, żebyś się żenił z jej córką...

— Ależ się jeszcze na nic nie zdecydowałem — przerywa Bolesław⁷.

— Ja już widzę że i ona tu po to przyjechała, bo to faworytka pani Klingerowej i musiały tam w domu z notaryuszową wszystko uradzić. Matka twojej nieboszczki, nie mogę tego powiedzieć, jest bardzo dobra, szlachetna kobieta, ale ta jej córka... ho, ho...

— Mówię mamie, jeszcze nic nie postanowiono...

— A ja ci powiadam, że i tak będzie! Ale mówię... Bolciu bądź ostrożnym, żebyś sobie biedy nie sprowadził do domu.

— Niech mama będzie spokojna...

— Namówią cię...

— Nie namówią, nie chcę i kwita! Cóż to ja nie mogę mieć swojej woli czy co?

— No, no, no... pamiętaj! — dodaje staruszka zabierając się do wyjścia.

— Mama bo znowu tak lubi radzić i radzić, a zawsze swoje no, no, no... Nie chcę i nie chcę!

Po wyjściu staruszki jeszcze bardziej rozirytował się pan wdowiec, a w miarę wyrabianego wewnątrz postanowienia uporczywie przyspieszał kroków w odbywaniu kołowej po gabinecie wędrowki, tak że w końcu już biegał a nie chodził, szepcząc do siebie jakieś urywane słowa i energicznie machając ręką w powietrzu.

— Bolesiu odzywa się babcia z miasta — uchylając drzwi gabinetu — może pójdziemy trochę po ogrodzie z dziećmi — pogoda piękna i sucho...

— Służę mameczce — odpowiada chwytając za czapkę i wybiega za nią do ganku.

Naturalnie, że do towarzystwa przyłączyła się i pani konsyliarzowa, próbując z Bolesławem rozpocząć jakąś rozmowę.

Przyznajmy sobie my mężczyźni, że pod względem zdolności w ukrywaniu swoich myśli i

wrażeń, w porównaniu z kobietami jesteśmy ucznia- mi. Owe zarzucane słowicze dźwięki w męczyzny głosie, a w sercu lisie zamiary, owe wiarołomstwa, krzywo przysięstwa i tym podobne dowody dyplomatycznej taktyki, są to rzeczy, które do bajek zaliczyć trzeba, a które śmiejąc się w duchu, zarzuca nam piękna połowa rodu ludzkiego.

Okoliczność ta przypomina mi zawsze biuletyny zwycięskiej armii, gdzie aby podnieść wyżej swą sprawę, pisze się: „nieprzyjaciel walczył z szaloną odwagą* i t. p. Tak też i kobiety same umieją podnosić nasz opór, raz że mają dobre serce i zwyciężywszy nie chcą nas upokarzać — powtóre, że zręczność ich i zasługa w tem lepszem pokazuje się świetle.

Jakkolwiek pan Bolesław pragnął nie pokazać po sobie, że wrogie w swem sercu względem pani konsyliarzowej żywi zamiary, to ona jednak z tonu głosu przy pierwszych dwóch słowach, z unikania spojrzenia jej w oczy, poznała zwrot nieprzyjaznego wiatru.

— Słyszałam że pan lubisz samotność i ciszę — mówi idąc obok niego, gdy dzieci z babcją wysunęły się naprzód...

— Tak, rzeczywiście lubię... — odpowiada ze źle ukrytym przymusem, zbijając laską sterczące koło chodnika uschłe bodiaki

— Pojmuję pańskie upodobanie, bo dla każdego myślącego człowieka wszelka hałaśliwa czy to

rozmowa, czy zabawa jest nieznośną. Ja choć nie liczę się do kobiet tyle zajętych czytaniem co pan, no i do bardzo myślących nie mam} pretensyi, a dostaję rozdrażnienia nerwowego, gdy mi przyjdzie znaleźć się w większem i gwarliwym towarzystwie. Ten potok słów konwersacyjnej rozmowy odurza mię, formalnie tracę przytomność.

— Rzeczywiście są osoby, którym to niesko- dzi — mówi Bolesław — a niektórzy zaczynają żyć wtedy, gdywidzą koło siebie ruch — ja od dzieciństwa zawsze miałem wstręt do tego wszystkiego—

— Wierzę, kto umie stwarzać koło siebie takie życie myślące jak pan, kto umie urządzić swoje otoczenie w ten sposób jak tu widzę, temu nie potrzeba ludzi. Nie chcę panu pochlebiać, ale przecie bywałam w tylu możliwych dworach wiejskich i w pałacach zbytkownych, lecz nie widziałam, żeby kto w szczupłym zakątku potrafił się tak gustownie rozporządzić. W lecie, jak to wszystko się rozwinie, musi tu być rozkosz... A ten las róż — dodaje pokazując na przygięte do ziemi i mchem narzucone sztamy.

— Przyznaję, że lubię bardzo kwiaty i mam dobór róż znakomity... nawet czarne...

— Żartujesz pan, — czarnych nie widziałam jeszcze...

— Mogę pani pokazać kwitnącą.

~ O tym czasie 1

— K Jesu lkwiiuucji ----- nu iai piawu
do oranżery, właśnie jedna poforsowana w wazonie zakwitła,
— Ależ to raj nie oranżerya! — zawoła kon- syliarzowa z dziecięcą radością klaskając w ręce.
— I proszę pani, nic nie kosztuje — odpowiada żywiej pan Bolesław, wprowadzając panią Ludwikę do
małej cieplarni przybudowanej obok oficyny dworskiej — Mojego pomysłu urządziłem kaloryfer ogrzewany
przez kuchnię folwarczną; proszę pani tu — dodaje odmykając żelazne drzwiczki w podłodze — i jak potrzeba
wpuszczam ciepło...
— Z pana cudownie pomysłowy człowiek!
— I wodę mam do polewania gotową — mówi dalej ożywiony Bolesław — spojrzysz pani, ta rura z
gutaperchy opatrzona sitem, dostarcza mi z kadzi stojącej w kuchni tyle ile potrzeba. Ogrodnikowi dość stanąć
na ławce i wziąć kiszkę do ręki, a od razu poleje wszystkie wazony.
— Prawda, rzecz na pozór prosta, a ileż to gdzieindziej potrzeba nanosić konewek... Teraz to rozumiem
pana zamiłowanie do kwiatów... ja sama przepadam za nimi i gdyby mię stać było.
— Zapewniam panią, że to nie wiele kosztuje... A choćby i kosztowało trochę, to przecież nie samem
chlebem człowiek żyje i nie na to pracuje, aby sobie odmawiać wszelkiej przyjemności...

— Jednak krzyczą na mnie wszyscy...

— Prozaiczna gawiedź, nie mająca poczucia piękna, zawsze i na wszystko krzyczy, czego nie rozumie i czego zazdrości...

Ja też nie lubię zabaw, nie lubię gry, nie wydaję na bale i przyjęcia...

— Bardzo sprawiedliwie... ale u nas w Polsce, to jeszcze mało kto pojmuje takie życie. Nawet wielcy panowie, co to się stawiają na wzór innym.

— Lubię książki — przerywa w dobrym humorze Bolesław — lubię ładne obrazy...

— Podziwiać pana doprawdy — mówi z roz- promienionem obliczem konsyliarzowa. Pokazuje się, co człowiek rozumny i z czuciem potrafi zrobić jak chce...

Dalszą rozmowę przerwało wejście babci Zofii z gronem dzieciaków, które rozbiegły się między kwiatami i jak dzieci, próbowały dotykać się wazonów, pokazując babci różne osobliwości...

— Zięć twój to jest wzór obywateli wiejskich - rzecze pani Ludwika do pani Zofii...

— Ja toż samo powiadam, że jest nieoceniony- A krzyczą na niego, że się bawi w kwiaty, że siedzi w książkach...

— O, co ludzie nie krzyczą.. Pierwszy raz widzę taki raj w miniaturze — mówi dalej pani Ludwika — i podziwiam. Moje dzieci, nie ruszajcie kwiatów — tatko tego nie lubi, a dzieci je-

żeli kochają ojca powinny uważać, aby mu nie
rob iły żadnej przykrości. Wandeczko kochasz ojca ?

— Kocham bardzo... — rzecze figlarna Wandzia chowając rączki, za siebie, gdy ojciec zajęty
obskubywaniem zeschniętych liści z wazonów.

— Miła dziecina prawda! — odzywa się babcia — i ładna, tylko ją też tak cudacko ubrali...

— Sukienka źle skrojona.

— To babcia ze wsi sama krajała...

— Mała rzecz, ściąć trochę ramiączko, ot tak ; dodaje konsyliarzowa i zaraz będzie inaczej wyglądać...

— Och ty bo jesteś generalna znawczyni na

wszystko...

— Proszę cię, dla czegoż nie ma leżeć zgrabnie na dziecku, kiedy to mnie nic nie kosztuje... a zaraz co
innego... Tylko wrócimy do domu, to musimy przerobić te ramiączka.

— Bolesiu, Bolesiu! — woła babcia Zofia — będziesz miał jedyną pomoc z Ludwiki — mówię ci na
wszystkiem się zna... A dzieci, będziecie kochać ciocię Ludwikę, co, będziecie?

— Dla czegoż nie mają kochać, kiedy ciocia będzie ich kochała, jak będą grzeczne i posłuszne. Prawda
Wandziu, prawda Jadwisiu?...

Bolesław niby zajęty kwiatkami, jednak słyszał te wszystkie propoaycye i rozmowę dwóch kobiet, i trzeba
przyznać, już się nie irytował...

— Może białaby i nie zła dla dzieci — myślał — lubi spokój... zobaczmy.

Kogoż miła woń kadzideł pochlebstwa nie odurzy, kto z nas może sobie powiedzieć w tym względzie jak Chrystus Pan oskarżycielom Magdaleny „kto z was niewinny, niech rzuci kamieniem” — więc jak tu się dziwić Bolesławowi, że znalazłszy bezwzględną w pani Ludwikowej adoratorkę, mięł co godzina zapominając o przestrożach matki. Pokazał jej swoją bibliotekę, zbiór starych medali; przedstawił jej plany przyszłej reorganizacji dworu i otoczenia, i wszędzie znalazł serdeczną jej aprobatę wraz z kilku uwagami, oznaczającymi znawstwo i wykształcony gust dobrze wychowanej kobiety.

Rozochocony pan Bolesław przyjemną rozmową, zwierzył się pani konsyliarzowej, iż zajmuje się studiami meteorologicznymi, że wiele sobie obiecuje korzyści dla nauki z tych spostrzeżeń, a nawet odczytał jej początek rozprawy „o wiosennym kierunku chmur deszczowych w naszym klimacie.*

Babcia Petronela, która chociaż miała lat siedmdziesiąt i przez okulary nawet mało widziała, jednak była kobietą także, i cały dzień z wyteżoną ciekawością obserwowała całe obejście się pani konsyliarzowej z wdowcem. Kilka razy miała ochotę zbliżyć się do syna i dolać oliwy na jego poranną irytacją, lecz babcia Zofia i sama pani

Ludwika tak umiały zręcznie manewrować, że nie dopuściły tej sam na sam rozmowy.

Skończyło się tak, jak się miało skończyć, że pan Bolesław jak o łaskę jaką błagał konsyliar-zową, żeby zechciała zastąpić jego dzieciom matkę, sumitując się z całą szczerością, że nie może jej więcej nad sześć set złotych reńskich rocznie za takie dobrodziejstwo ofiarować. Babcia z miasta ze łzami w oczach ucałowała kochanego zięcia, a pani konsyliarzowa zapewniła go, że z całym poświęceniem zajmie się wychowaniem miłych dzieciaczków, przygarniając sieroty do macierzyńskiego serca.

II.

Rządy pani konsyliarzowej.

— Najgorsza sprawa z matką — myślał sobie Bolesław kładąc się tego dnia na spoczynek — będzie oponować, będzie mi gderać... Już słyszę jej: „No, no, no, zobaczysz*... Ale przynajmniej znalazłem porządną kobietę, o dzieci jestem spokojny.

Jakież więc było jego zdziwienie nazajutrz, gdy leżąc jeszcze w łóżku, zobaczył wesołą minę staruszki, która usiadłszy obok niego, rzekła z dobrocią :

— Wiesz Bolciu, ta konsyliarzowa wcale inna kobieta niż myślałam.

— A mówiłem mamie...

— Mój drogi, jesteśmy tylko ludźmi, zdawało mi się wczoraj, że wielka pani, tymczasem ona wstała dziś raniutko, była ze mną w piekarni i godzinki lepiej umie odemnie. A zna się na wszy- stkiem, poradziła mi, żeby tej krowie srokatę, wiesz co to kopie przy dojeniu, położyć mokry

worek na grzbiecie, i rzeczywiście dała się spokojnie wydoić.

— Mnie się też zdaje, że powinna być dobrą dla dzieci.

— Będzie, będzie, bardzo rozsądna osoba i grzeczna. Dla mnie powiadam ci z takim uszanowaniem, „dzień dobry pani” mówi pierwsza, gdyśmy się spotkały. Obejrzałyśmy całe gospodarstwo, moje kapłony chwaliła, że wyglądają jak indyki, radziła żeby kaczkom dać w gniazdo zielony tatarak, bo mówi, że spokojniej siedzą.

— Chwała Bogu — przerywa całując matkę z wdzięcznością w rękę.

— Porządna kobieta, nie ma co powiedzieć, tylko słyszałam, że dużoś jej obiecał pensyi. Bój flię Boga, sześć set reńskich, to ogromna suma; zkadżeż ty biedaku na wszystko wystarczysz?

— Ha, ja muszę się na czem innem oszczędzać, a dla dzieci nie wypada żałować,..

— Uradziliśmy już co będzie dziś na obiad; wystaw sobie, lubi tak jak ja schab ze śliwkami...

— To dobrze, to dobrze — powtarza ubierając się Bolesław z tak wyśmienitym humorem, jakby mu kto zdjął kamień młyński z serca. — Tylko też moja kochana mamó zgodnie, mama wie, że ja tak nie lubię tych nieporozumień i kwasów...

— A broń Boże, któżby się tam sprzeczał...

— I plotek proszę nie słuchać, te służące lubią tylko znosić różne wiadomości...

— Ty wiesz przecie mój synu, że ja nie cierpię obmowy i nie lubię słuchać co inni gadają. Co mnie to obchodzi, jak o mnie mówią. Nic złego nie mogą...

Bolesław tylko się uśmiechnął nieznacznie na takie zapewnienie szanownej staruszki, lecz content był, że nie znajduje opozycji, której się najwięcej obawiał.

Dopóki babcia z miasta przebywała w Skalicach, przyjemnie schodził dzień za dniem na wspólnej rozmowie, przeplatanej ulubioną jej grą w bezika. Pan Bolesław sam pięknie grał na fortepianie, pani konsyliarzowa również była muzykalną, a choć to był czas żałoby, to jednak pogrzebowe marsze i poważne rzeczy Mozarta grano na cztery ręce z uwielbieniem obydwóch matek.

Pani konsyliarzowa w krótkim czasie stała się dla niego niezbędną tak, że po wyjeździe babci Klingerowej radził jej się o wszystko, i znajdował, że rady te były nadzwyczaj rozsądne. Szczególniej wdzięcznym był tej pani za udział żywy w naukowej jego pracy nad wiosennym kierunkiem chmur deszczowych, którą zajmowała się nadzwyczaj gorąco, nie wątpiąc, że ogłoszenie jej zrobi prawdziwy przewrót w meteorologii. Całe godziny debatowali nad tem, czy wiatry są przyczyną tego kierunku, czy też przeciwnie chmury nadają kierunek wiatrowi.

Jakiś czas w Skalinie wszystkim było jak w raju: babcia gospodarowała w piekarni, Owiński w polu, pan w ogrodzie i gabinecie, a pani konsyliarzowa w garderobie i pokojach. Lecz niepodobna żądać, aby wieczna szczęśliwość mogła trwać ciągle, wiadomo, że i Adamowi z Ewą sprzykrzyła się ta błogość monotonna, choć wtenczas była ona jedną tylko kobietą na świecie, i prócz figowych liści nie знаła innych materyałów na suknie. Tymczasem w Skalinie trzeba było dzieciom sprawić nowe sukienki.

— Na co? — rzekła z opozycją babcia — czy ja nie mam ślicznego płótna w kratkę?

— Na lato za ciężkie na bluzki — odpowiada pani konsyliarzowa — i przyznam się pani, brzydkie. Dla takiej Nastusi albo córki ekonoma, które zajmują się prostymi robotami, może być trwałe i dobre, ale dla pańskich dzieci...

— Moje całe lato chodziły zawsze w bluzkach takich — rzecze babcia rozwijając grubą sztukę ordynaryjnego drylichu — bo to się i pierze i brudu nie znać.

— Dawniej było co innego, dziś co innego...

— Czy dziś więcej mają ludzie pieniędzy do wydawania niż dawniej?

— Ale proszę pani, co o tem dysputować. Niech pani swoje płótno sprzeda, a my kupimy za to perkaliku dwa razy tyle...

Nie podobała się taka mowa staruszce, zabrała więc z gniewem swój wyrób, a tymczasem pani Ludwika pojechała z dziedzicem do miasta po sprawunki.

— Straszna rzecz, coście tu państwo tego nawieźli — mówi oglądając po powrocie różnego rodzaju perkaliki, płócienka i inne drobnostki. — - Co to warta? — przy pierwszym praniu wypełźnie, rozlezie się... tandeta praska, nic więcej.

— Daruje pani — odpowiada ze szczególnym błysnięciem oczu konsyliarzowa — ale też i ja znam się coś na tem. Kupowałam dość w mojem życiu, i ręczę ten perkalik przetrwa dwa razy dłużej niż pani roboty... Tu przynajmniej nitki równe, a w tych wszystkich domowych wyrobach w jednym miejscu grube jak bat...

— Gdzie, gdzie? — przerywa babcia podnosząc swój fartuszek do oczu pani Ludwika.

— Ot widzi pani naprzykład ta nitka...

— Ja widzę, że równa...

— A ja przeciwnie, panie Bolesławie, proszę nas rozsądzić.

— Grube, brzydkie, ordynaryjne — mówi myśląc o czem innem Bolesław...

— Ha! — rzecze z gniewem staruszka — widać ja już nie mam oczu.

— No rzeczywiście mama nie dowidzi...

— Zapewne, zapewne, stara matka już niedołężna, ślepa, na niczem się nie zna. Są inni, co

lepiej się znają na towarach, niechże będzie i tak! — dokończyła wychodząc z pokoju.

Zdawało się, że ta rzecz przejdzie jakoś bez dalszych skutków, tymczasem przy obiedzie pani Petronela tak chmurną przybrała minę spuszczać nos i spoglądając ponuro, że pani konsyliarzowa musiała nawzajem przybrać chłodno-grze- czną postawę, co jeszcze bardziej zirytowało staruszkę.

— Zaczyna pokazywać rogi wielka pani — rzekła w kredensowym pokoju do Nastusi zajętej odbijaniem paczki ze szkłem i porcelaną, którą dopiero przywieźli z miasta.

— A to co? z kąd się to wzięło?

— Państwo kupili w mieście.

— Jak to, bez mojej rady?— zawołała babcia przerzucając między talerzami. — Ależ to zbytki, cały garnitur nowy, i szklanek tyle... i miseczki rzniete... Cóż oni tu bale myślą wydawać, czy co ?

Daremnie tłumaczył rozgniewanej Bolesław, że to wszystko koniecznie potrzebne, że nic w domu nie ma, daremnie kłamał podając połowę ceny rzeczywistej, nic nie pomogło, iskra niezgody była rzuconą.

Pani Ludwika już pewna siebie, potrafiła tak zręcznie obrócić w śmieszność gadanie staruszki, a względem niej przybrać ton niejkiej wyzszości, że biedny Bolesław patrzył już oczami swej opie-

IR- 49

kunki i czynił z tego tytułu delikatne wżTzuty matce.

— Zobaczysz, ona ciebie zniszczy...

— Miech mama się nie obawia, ja wiem sam, co potrzeba.

— Co ty wiesz, chyba tyle, że wydajesz pieniądze i płacisz taką wielką pensją, nie wiedzieć za co ? Nie bój się, ja nic nie mówię, ale te twoje dzieci nic a nic się nie uczą... Sama robi jakieś siatki, od rana do nocy czyta romanse, dwie godziny się ubiera, do północy siedzi, fa:buje sobie włosy i świece tylko wypala, — a dzieci ani zajrzą do książki, spytaj czy umieją choć jedną bajeczkę.

— Moja mamó, bo teraz inna metoda nauczania; teraz wszystko na rozum. Rozumową zabawą rozwija się umysł dziecka...

— Tak, tak, i pakuje się w nich co drugi dzień olejek rycinowy... pamiętaj jak sam w to nie wejrzysz...

— Cóż ja mam wglądać...

— Jakto? ty ojciec nawet ani razu nie zapytasz się dzieci, czego się też uczą, co umieją?... Dawniej jadły wszystko i wyglądały jak czerwone jabłuszka.

— Trochę powalane — przerywa śmiejąc się Bolesław.

— Śmieć się, śmieć... prawda, że powalane ale zdrowe, a teraz wymuskane, wystrojone, tylko te-
OpUkunowio wdowę*.

go nie mogą, to im szkodzi, to za ciężkie na ich żołądek...

— Dobrze robi, że przestrzega dyety, bo to nie bardzo rzecz przyjemna, gdy dzieci ciągle chorują w domu...

— A żeby nie chorowały i pani konsyliarzowej nie robiły subiekcyi, to najlepiej karmić je olejkiem, i wyniszczają siły za młodu...

— Więc cóż mam robić, co?— mówi już znecierpliwiony Bolesław.

— Pilnować dzieci, pilnować, żeby za takie drogie pieniądze szła nauka porządnie i nie dać wodzić za nos...

— A któż mię to wodzi?

— Kto, kto? — pyta śmiejąc się ironicznie babcia — a toż cię tak opanowała, że kroku bez jej rady nie zrobisz! Ciągłe tylko jakieś rozprawy

0 chmurach, o wiatrach, o głupstwach...

— Moja mamó — rzecz z niechęcią Bolesław — mama na tych rzeczach się nie zna, to są badania naukowe.

— Wstydziłbyś się nazywać wiatry badaniami jakimiś, ot lepiej żebyś zajrzał w pole i zobaczył jak okopują kartofle, a nie psuł sobie głowy wiatrami...

Bolesław słuchał cierpliwie tych gderań matki

1 uśmiechał się nad jej prostotą, w czem pani konsyliarzowa dopomagała mu zręcznie, wtrącając

kiedy niekiedy uszczypliwe słówka co do pojęć i wykształcenia dawniejszych kobiet naszych.

Wojna jednak zaczęła się na dobre; obie strony ustawiły swoje placówki, babcia w osobie Nastusi, pani Ludwika w osobie Jaśka nowo-przyjętego lokaja, tak że każdy ruch nieprzyjacielski był z całą dokładnością śledzony.

Chępli się nowoczesna taktyka wojenna wynalazkiem operowania różrzucenemi oddziałami, które mniej są wystawione na ogień dział nieprzyjacielskich; kobiety od dawna praktykują już taką podjazdową wojnę między sobą, i nim przystąpią do głównego ataku, rozstawioną tyralierką i częstymi wycieczkami potrafią skutecznie trapić nieprzyjaciela.

I babcia i pani konsyliarzowa nie potrzebowały w tym względzie znajomości teorii wojowania; grzecznie niby witały się rano, mówiąc słodkie: dzień dobry, podawały sobie krzesła do siedzenia, targowały się kto naprzód ma przestąpić próg salonu, ale swoją drogą przypinały sobie łatki, o ile zdarzyła się sposobność.

Przy śniadaniu rano pani konsyliarzowa pije czystą herbatę, Bolesław zwraca na to uwagę i pyta czy nie słaba, że nic nie je.

— Rzeczywiście jestem niezdrowa... bułki mi szkodzą...

™ Bułki? — rzecz zdziwiony gospodarz.

4*

— Musiały być drożdże złe czy coś innego, ale taki mają zakalec na spodzie, że wczoraj wieczór zjadłam kilka kawałków i czuję, że mi ciężą.

Babcia Petronela tylko spojrzała na nią surowym okiem, nie rzekłszy ani słowa, ukroiła sobie podwójną porcję i zjadła ze smakiem.

— Może nie takie jak u hrabiów na Wołyniu, ale na nasze szlacheckie żołądki bardzo zdrowe. Przy pracy i ruchu widzi pani daleko lepiej się trawi i dzieci nawet byłyby zdrowsze, gdyby miały nieco więcej agitacji.

— Prawda — dorzuca Bolesława — bardzo rzadko wychodzą na spacer.

— I owszem będziemy chodzić — rzecze konsyliarzowa — choć nie jestem za męczaniem dzieci w ten sposób.

— Ale też i siedzenie po całych dniach nad książką nie jest zdrowe. Przyzna pani — mówi dalej babcia — że nam starym to się czasami nie chce ruszyć z miejsca, ale dzieciom ruch koniecznie potrzebny... I pani by nasze bułki tyle nie szkodziły...

Po każdej więc tego rodzaju sprzeczce, następowało coraz większe ochłodzenie stosunków; babcia żądała arkusza papieru i koperty od syna, siadała uroczyście w swoim pokoju i pisała, pisała wielkimi literami na wszystkich czterech stronach. List taki wysyłał się nazajutrz na pocztę pod adresem Urszulki, a nie było wypadku, żeby pani

oo

Ludwika nie dała posłańcowi drugiego od siebie do pani Klingerowej.

— Panie Bolesławie — odezwała się raz konsyliarzowa — czy nie macie państwo żadnego sąsiedztwa ?

— Jest dosyć, ale ja zaniedbałem ich zupełnie od czasu choroby żony, zresztą przyznam się pani, nie lubię tutejszych towarzystw.

— Jednak nie można tak wyrzekać się wszelkich stosunków ze światem. Jadwinia ma już trzynaście lat, potrzebuje oswojenia się z ludźmi, wypadaloby żeby pan zawiózł ją kiedy...

— Dobrze — mówi gospodarz — ale i pani pojedzie z nami.

— Ja? ja lubię spokój...

— A ja na to nie pozwolę, pani również potrzebuje towarzystwa...

— Czyż mało mi rozmowy z panem i tyle zajmującej pogawędki z mamą...

Roześmiał się zartobliwie pan Bolesław...

— Daję panu słowo, nie żartuję, dysputa o kurach, o płótnie, o pieprzu i karmieniu indycząt bardzo jest zajmująca. Czasem Nastusia przyniesie mi jaką nowinkę z kuchni, że stangret wybił kucharkę folwarczną, czasem ekonom wynurza się ze swojemi żalami przedemną, że nie może na- starczyć legumin do spizarni...

— W istocie moja matka niby to oszczędna, a okropnie dużo wydaje, dwa razy więcej kosztuje

mię utrzymanie domu niż za czasów gospodarowania żony...

— Ale masz pan po staremu, podług staropolskich tradycji dwór zaludniony, pełno prządek, pełno chłopaków sierót, zapasy płótna na worki na lat dziesięć.

Bolesław tylko machnął ręką i westchnąwszy ciężko wyszedł z pokoju...

Powoli zaczęto wyjeżdżać ze starszemi dziećmi w odwiedziny do sąsiadów, nawzajem pokazali się i goście w Skalinie. Pani konsyliarzowa tak umiała odgrywać rolę uprzejmej gospodyni, tak zając gości rozmową i zachęcić do ściślejszej znajomości, że cała okolica wieszowała Bolesławowi szczęśliwego w osobie pani Ludwiki nabytku. Babcia Petronela została na drugim planie, a widząc, że mało na jej obecność zważa młoda generacja, prawie nigdy nie pokazywała się w salonie.

Dla przyjęcia gości trzeba było odpowiedniej dyspozycyi, zatem musiała się tem zająć pani konsyliarzowa, babcia oddała jej klucze od kredensu i dworskiej spiżarni, kucharzowi kazała chodzić do niej po rozkazy, tak, że po kilku tygodniach cały zarząd domu dostał się w jej ręce, a babcia ze swoim folwarkiem, ze swojemi kurami i płótnem czysto gospodynią dla czeladzi dworskiej.

— Mamo — zapytał raz Bolesław, wróciwszy zmęczony z polowania — jaby co zjadł...

- Poproś pani konsyliarzowej — odrzekła zachmurzona — wiesz przecie, że ja domem nie rządę...
- Jak to?
- Tak że nie rządę, pani ta zabrała wszystkie klucze do siebie i jak chcę zjeść kawałek chleba z masłem, to muszę posyłać Nastusię, aby mi wydzielili.
- Eh, bo mameczka uprzedziła się do konsyliarzowej, i wszystko złe w niej widzi! Przyjedzie kto, mama się chowa...
- Ja moje dziecko nie do waszego świata stworzona; jeszcze zestarszemi osobami miałabym co do pogadania, ale z takimi świstakami jak Kotulski, jak Bączkowski, co ja mam... Rządźcie, balujcie a zobaczymy, czy ci to wyjdzie na dobre... Jadwinia już odgrywa rolę dorosłej panny, może to teraz taka moda, żeby dziewczynki w czternastym roku już chichotały się do mężczyzn.
- Musi się przecie oswoić z towarzystwem...
- Niech się oswaja... napisałam do Tjrszulki żeby przysłali konie po mnie, ja tu już niepotrzebna przy modnej pani... chwała Bogu, że tkacz już kończy płótna..
- ■No, no, niechno mameczka tak źle nie patrzy na wszystko — rzecze Bolesław całując ją w rękę. — Będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, tylko toż zgodnie moja mam... ja tak lubię spokój.

Starej babce łzy stanęły w oczach, Bolesław jeszcze goręcej całował jej spracowane ręce, i wzdychał i przeproszał sumitując się, że nie da jej krzywdy zrobić, i prosił, żeby nie zważała na drobnostki.

— Dla dzieci, dla tych biednych sierót trzeba znieść wiele rzeczy, które być może i mnie się nie podobają...

Pani konsyliarzowa zobaczywszy więcej czule stosunki między synem i matką, znowu jakoś zaczęła tej ostatniej widoczniej nadskakiwać, być dla niej uprzedzającą, a że babcia miała najlepsze serce i wierzyła wszystkim, więc przeproszała ją nawet, wyrzekając się dobrowolnie wszelkiej nad domem opieki.

Taki stan rzeczy, choć już nie tak kordyalny jak z początku, trwał do chwili, w której pani konsyliarzowa odebrała list od córki, z doniesieniem, że czuje się słabą i chciałaby matkę odwiedzić. Pan Bolesław i owszem, nie miał nic przeciwko temu, wysłał powóz do stacyi kolei, a choć przybycie obcej osoby mogącej go krępować w domu, nie było mu na rękę, to przyjął pannę Klocię z całym zasobem grzeczności i uprzejmości.

Panna Klotylda, wysoka i szczupła dwudziestoletnia blondynka, nie była ładną, choć nie

Opiekunowie wdowca.

można jej odmówić pewnej żywości w rozmowie i sporej dozy sentymentalizmu połączonego z dziecięcą prawie naiwnością. Mówiła wiele, nie troszcząc się o sens tego co mówi, aby tylko olśnić słuchacza swojimi wiadomościami, i pokazać się AYSzechstronnie wykształconą. Co do gustu, miała się za wyrocznie; strój jej stosował się do najświeższej mody skopiowanej wiernie z warszawskiego Bluszcza, a choć złośliwe panie zarzucić by mogły brak harmonii w jej ubraniu, to znajomości najdrobniejszych szczegółów damskiej toalety nie można było zaprzeczyć.

Babcia Petronela zobaczywszy, jak mówiła wysoką topolę pełną pretensyi z kieszeniami u sukni tak nisko, że do nich ręką dostać nie było można, kiwnęła tylko głową powiedziawszy Na- stusi „woskowa lalka* i ta nazwa błyskawicą rozbiegła się po dworze, a wszelka służba przyjęła ją za przydomek panny Klotyldy.

Pani konsyliarzowa za to nie wiedziała, jak uczcić i uszanować tyle dystygowaną i rozumną córkę: chodziła przed nią na palcach, służyła jej rozkoszując się jak bóstwem jakim.

Naturalnie i pan Bolesław i cały dom kierowany rozumną ręką pani Ludwiki szedł w jej ślady: dzieci biedne nie śmiały kaszlnąć w obecności panny Klotyldy, do 11 zrana chodziły na palcach w sąsiednim pokoju, żeby nie obudzić chorej Kłoci a babcia przy stole odzywała się

z początku do niej jakby do jakiej hrabiny i przysuwała talerze z kompotem.

Szczęśliwi są ludzie, którzy umieją sobie nadać ton pewien, i mają tyle odwagi albo czelności robić z siebie jak to mówią wielkie rzeczy. Tłum z pewnością będzie ich szanował więcej niż najrozumnijszych a skromnych pracowników. Imponująca postawa, wdzieranie się wszędzie czy wypada lub niewypada, samochwalstwo tych pęcherzy społecznych jednych odurzy, drugich zniewoli, trzecim wreszcie powodowanym delikatnością towarzyską odbierze cywilną odwagę tak, że ustępują im miejsca i mimowoli biją czołem.

Klocia tego nie może, Klocia tego nie znosi, Klocia to lubi, Klocia tak przyzwyczajona, Klocia nie ma zdrowia, słowem od pierwszego wejścia na próg skalińskiego dworu nic tylko Klocia i Klocia... Pan Bolesław protestował wprawdzie przeciw tej Kloci, lecz tylko w duchu i w swoim gabinecie; ale niech tylko przyjdzie Wandzia, mówiąc, że panna Klotylda o coś prosi, kładł natychmiast niadopalony papieros, rzucał książkę, poprawiał czuprynę na głowie, i biegł na drugą stronę, jakby się gdzie paliło. Babcia protestowała trochę głośniejsz w kuchni, wymyślała przed Nastusią, ale niechno pokazał się czerwony nos pani konsylia-rzowej, lub przybył Jasiak po befsztyk dla panny Klotyldy — rozmowa urywała się nagle, cicho, sza, żeby ktoś nie domyślił się nawet, że o Kloci

coś tu mówiono. Nawet ekonom Owsiański, który bardzo małą miał styczność ze dworem, kiedy ujrzał zdaleka wysoką pannę idącą po ścieżce ogrodowej w sukni z długim ogonem, zdejmował czapkę z pokorą i cbował po za siebie harapnik.

O dwunastej godzinie dopiero pokazywała się w salonie panna Klotylda, wyświeżona, pachnąca, wyfiokowana jak lalka na wystawie sklepowej. Do tej godziny wstęp do jej pokoju, z którego wyfurowano dzieci do kredensu, był wzbroniony. Dla poprawienia zdrowia pijała kakao, potem zjadała befszytk świeżutko przyrządzony, który sama matka przynosiła jej do pokoju — potem następowało mycie tylko miękką deszczową wodą, potem fryzura, czyszczenie paznokci, pudrowanie i inne tego rodzaju czynności, przy których tak sama pani konsyliarzowa jak i wszelka żeńska służba dworu była nieustannie zajęta.

Pan Bolesław, również w świątecznym ubraniu, już oczekiwał wielkiej damy, i z wyszukaną grzecznością bawił do obiadu tego rarytnego gościa. Słuchając ich uczonej rozmowy, pani konsyliarzowa patrzyła w twarz córki jak w obraz, a w całej jej postawie malowała się promieniejąca radość i zachwyt połączony z dumą macierzyńską.

— „Z winnic kapią bluszcz i róże!” Powiedz pan, czy może być coś wznioślejszego, coś szczytniejszego, coś więcej mówiącego do serca jak po-

ezye Krasieńskiego ? — rzecze w ciagu rozmowy wzdychajac panienka.

— I ja wysoko stawiam utwory jego, mowi wyjmujac papierosa Boleslaw i szukajac oczami zapalek.

— A moze tobie dziecino moja szkodzi dym tytoniowy? — pyta trwozliwie konsyliarzowa.

— Och ja moge znosić../ takim tonem jakby chciala powiedziec — „juzciz jak trzeba, to zniosę”.

— Ach to przepraszam pania, bardzo przepra. szam — mowi gospodarz chowajac pospiesznie papierosa — ale wracajac do Krasieńskiego poezyj, znajduje tam jak i u Slowackiego tyle mistycyzmu, ze przyznam sie otwarcie, nie zawsze moge ich zrozumiec...

— Tak — rzecze usmiechajac sie lekko Klocia — a dla mnie nie ma tam zadnej tajemnicy, bo iez panie Boleslawie poezya wiecej trzeba czuc niz rozumiec. My kobiety jezeli nie umiemy filozofowac, to za to odczuwamy wszystkie bratnie dusze. Ten jek zranionego serca Juliusza, ktorego nawet rodzona matka zrozumiec nie mogla...

— Nie slyszalem o tem...

— Czytaj pan jego listy do matki...

— Przyznam sie, nie czytalem...

— A na miłość Boska, jakze mozna tego nie znac? I listow do dzieci pisanych przez Zygmunta nie czytalem pan?

— Nie...

— I poezji pani Ackermann?

— Ani tego... szepcze z pokorą rumieniąc się gospodarz.

— A to już doprawdy świat ducha zupełnie panu jest obcym...

— Widzisz duszyczko moja — wtrąca nieśmiało matka — pan Bolesław pracuje nad badaniem kierunku chmur w porze wiosennej. Czytał mi kilka ustępów i mówię ci znakomite studyum...

— Prawda, że to może być bardzo ciekawa rzecz ze względu pokrewieństwa chmur z poezją. Ale właśnie tem bardziej potrzebną jest znajomość dziejów tych obłoków społecznych jakimi są nasz Zygmunt i Juliusz...

— Skąd tobie moja Klociu przychodzą do głowy takie porównania, jak n. p. obłoki społeczne...

— Bo pani również musi być poetką — dodaje Bolesław.

— Jeżeli poezją nazwiesz pan kochające serce kobiety, któraby rada całą ludzkość przycisnąć do piersi, jeżeli każda myśl szczytna i szlachetna znajduje w niej odgłos prawdziwy, jeżeli wreszcie gardzi tem wszystkim co poziome, powszednie i tchnące materjalizmem, bo jest dla niej wstrętniein, to rzeczywiście jestem poetką...

W tej chwili pokazuje się we drzwiach salonu Nastusia, i daje znak pani konsyliarzowej,

że ma do niej pilny interes. Wzruszona dama idzie ku drzwiom na palcach, potem wraca i szepcze coś do ucha Kloci.

— Można — odpowiada półgłosem Klocia bawiąc się kutasem od sznura sukni — tylko żeby to był prawdziwy szpinak, nie jakaś tam ziele- ninka, i żeby jajko było na miękko, tak na wierzchu położone.

— Tym sposobem — mówi Bolesław po skończeniu konferencji tajnej, na którą nie zważał — życie pani musi być narażone na ciągle zawody. Co krok spotykać pani musisz rozczarowania...

— Tak jest, masz pan rację, moje życie jest walką, jak życie każdej kochającej duszy. I dlatego widzisz mnie pan w tych latach znękaną, przygniecioną... ale ja nie upadam. Nadzieja nigdy mię nie opuszcza, ona jest moją gwiazdą przewodnią na tem niebie duchowego życia... A powiedz pan, czy co może zadowolić nienasycone żądze człowieka? Zdaje się, że mając to lub to — już się będzie szczęśliwym — tymczasem posiadanie wkrótce nie zadowalnia, znów stwarzamy sobie nowe żądania, znów gonimy za nimi i tak bez końca. Więc czyż nie lepiej postawić sobie od razu ideał ideałów, i dążyć do niego bez wytchnienia. Wiem, że ta gonitwa może się ciągnąć do grobowej deski.

— Ależ Klociu nie trzeba być taką pessimistką — przerywa matka. — I ideały można odszukać,

pokrewne dusze odczują się nawzajem— Tylko pobłażania, moja ty idealistko.

— Widzę, że pan Bolesław zamyślił się bardzo nad mojem wyznaniem wiary — rzeczce wesoło wstając z kanapy — proszę więc podaj rai pan rękę i zejdźmy na ten padół kwitnącego płaczu, jakim jest pańska oranżerya...

— Padół kwitnącego płaczu! — powtarza sobie z zachwytem konsyliarzowa, spoglądając z westchnieniem na postępującą ku ogrodowi parą...

Mimo swych górno - sentymentalnych pojęć, panna Klotylda była nadzwyczaj trwożliwą, n. p. mrówka pełzająca po drodze przestraszała ją tak, że mimowoli musiała się wzdrygnąć i instynktowo przytulić do prowadzącego Bolesława.

W oranżeryi oglądali kwiaty prowadząc już wesołą rozmowę, a choć dla p. Bolesława zerwanie jakiegobądź kwiatka stanowiło większą szkodę niż strata wołu lub konia roboczego, to jednak po każdym wyjściu z oranżeryi panna Klotylda niosła spory bukietek w rękę, i wachając go z efektem, rzucała wdzięczne spojrzenia na usłużnego wdowca.

— Pojmuję, jak to musi boleć pana ta ofiara z jego strony — rzeczce, unosząc z gracyą wlokący się i szeleszczący ogon u sukni.

- Co ma boleć ? — pyta udając zdziwienie Bolesław.

~ Zerwanie tych kwiatów...

— Darujesz pani — rzecze z ujmującą grzecznością — ale ja nie uważam to za żadną ofiarę.,. Piękne powinno należeć do pięknej...

— Pan nawet umiesz mówić komplementa ?...

— Czy to panią zadziwia? Widocznie uważasz mię za niezdolnego ocenić jej zachwycające przymioty.

— Co raz lepiej panie Bolesławie — rzecze wesoło na pół ironicznie panna Klotylda. — I gdybym nie miała lat dwadzieścia i nie była córką pańskiej ochmistrzyni, gotowabym sobie zawrócić głowę temi odurzającymi kadzidłami.

— Pani doprawdy jesteś złośliwą — rzecze markotnym tonem Bolesław. — Czy dałem jakiś powód pani do podobnych podejrzeń?

— Przepraszam — mówi szybko niby zawstydzona Klocia — ale tak jestem przyzwyczajona słyszeć podobnie oklepane frazesy i puszczać je mimo uszu, że i te musiały do tej kategorii zaliczyć. Na Wołyniu przebywając w domu hrabiów X. miałam szczęście podobania się wielu panom, którym się zdawało, że podbijają serce egzaltowanej guwernantki zdawkową monetą pustych wyrazów?

— Dla czegoż wszystkich przykładac do wołyńskiej miary?

— Dla czego? — powtarza rzucając na towarzysza badawcze spojrzenie — bo wszyscy panowie jesteście ogromnie próżni i zarozumiali, i lubicie

III.

Zamach stanu.

— Kiedyż ona już sobie pojedzie? — spytała raz babcia Bolesława siadając rano na jego łóżku... —
Przyjechała odwiedzić matkę na kilka dni, a siedzi już trzeci miesiąc.

— Czy ona mamie przeszkadza?

— Mnie nie, ale tobie i dzieciom. Po całych dniach tylko ją musisz bawić, ciągle sprawy, ciągle wizyty i goście, że nie masz czasu zajrzeć do gospodarstwa. Owiński narzeka, że nie może się dostać do ciebie...

— Bałwan, na co ja jemu potrzebny?

— Tak ci się zdaje, jednak zawsze trzeba się poradzić, a choć on bardzo porządny ekonom, to nie to co pan... No i te dzieci poniewierają się gdzieś w kredensowym pokoju po sofach, ani to spać, ani się uczyć, bo panna zajęła ich pokój...

— Młode, co im zaszkodzi, że się prześpią niewygodnie — niech się przyzwyczajają.

- I koszt wielki w domu...
- Eh moja mamó, co jedna osoba na wsi może kosztować, czy z nią czy bez niej tyle się wydawało, co się i dziś wydaje.
- Albo ty wiesz, co wydajesz?
- Jakto nie mam wiedzieć? Proszę mamy dajmy temu pokój, mama zaw^rszę musi wynaleźć we mnie jakieś wady...
- Bo cię kocham mój Bolesiu, i dzieci twoje kocham, a widzę, że się teraz nic a nic nie uczą... Biedne wałęsają się tylko z kąta w kąt; pani konsyliarzowa zajęta tylko córką, na twoje ani spojrzy; szkoda więc czasu i pieniędzy na tak drogą nauczycielkę.
- Muszą przecież mieć jakieś wakacje..
- To też to, że na wszystko masz gotową wymówkę, i nic tego nie widzisz... Klocia i Klocia pozawracała wam głowy, a ja ci mówię, że to lalka... nic więcej, wymalowana lalka. Nastusia powiada, co ona ma słoików, flaszeczek, pędzelków to aż strach... a jak się maluje, to zamyka drzwi na klucz. Hn!tą dziewczka podpatrzyła ją wczoraj, i historye opowiada, jak sobie coś wpuszcza do oka, jak przypina loczki na czole, bo widzisz te ładne kręcone włosy, to nie jej, ten warkocz to także nie jej. Fe! jak to można! Nawet sińce pod oczami maluje sobie pędzelkiem...
- Teraz wszystkie kobiety toż samo robią...

- Ale eo też ty mówisz? czy widziałeś, żebym ja kiedy przyprawiała sobie włosy, hę?
- Moja mamó, ależ mama już staruszka! i siwa!
- Hm! — odrzekła babcia — ty myślisz, że konsyliarzowa o wiele młodsza?
- Ani porównania...
- Tak, bo sobie farbuję włosy, bo się także maluje. Zresztą weź siostrę Urszulkę, robiła ona kiedy coś podobnego? i czy porządna kobieta będzie to robić?
- Urszulka jest sobie zwyczajna szlachcianka ze wsi.
- A ona co ? — rzecze zaperzona staruszka — jakaś przybłęda niby mu miejsce guwernantki gdzieś na Wołyniu, a tu siedzi w najlepsze... Oj Bolciu, Bolciu, coś ty mi zanadto nadskakujesz tej wojskowej lafiryndzie... Ja wiem, że one by rade cię złapać... dlaczego nie, o ja wiem, że lepiej żyć wygodnie u siebie, niż tułać się gdzieś po obcych miejscach. Żeby to jeszcze było co? jakaś gospodarna, zdrowa kobieta, ale to wielka pani, wstaje o dwunastej, tylko się wystroić i szczyrzyć zęby do panów... A jaka chuda, miłosierdzie Boże, żebyś ją ty kiedy zobaczył tak bez ubrania, to mówię ci skóra i kości... Bądźże też ostrożny mój Bolciu i nie daj się...
- Mama jak widzę uwzięła się dzisiaj męczyć i ostrzegać o tem czego nie ma, i o czym

nikt nie myśli — rzecz z niecierpliwością Bolesław.

— Bo ja choć stara, mam dobre oczy i widzę na co się to zanosi. Przyjazd tej panny, ta choroba niby, to siedzenie jej bez końca, nie jest bez kozery. Mówię ci, to wszystko z Klingerową było ułożone...

— Pa, pa, pa... mama okropnie daleko sięga... — odparł śmiejąc się Bolesław. — A ja mówię mamie, że im to ani w głowie; panna przyjemna to prawda, wykształcona, ładnie gra... a że jej tu dobrze, to siedzi..,

— No, no, no... zobaczysz! — kończy podług zwyczaju grożąc mu palcem i zabiera się do wyjścia.

Babcia Petronela idąc do syna, zostawiła drzwi od jadalnego pokoju niedomknięte, a pani konsyliarzowa przechodząc tam za chwilę, i słysząc donośny głos babci, stanęła przy drzwiach i wysłuchiwała caluteńką ich rozmowę od a do z. Co myślała — tego trudno dociec, ale że była zirytowaną, dowodzi popchnięcie tak mocno proszącej ją o coś w tej chwili Wandzi, że biedne dziecko aż upadło na ziemię.

— A co się tam stało ? — pyta przezedrzwi Bolesław, usłyszawszy krzyk dziecka.

— Nic, nic — odpowiada konsyliarzowa, podnosząc stłuczoną dziewczynkę — uderzyła się o stół, ale nie bardzo.

Tymczasem nadbiegła i babcia Petronela z nożem, który radziła przyłożyć do czoła dzieciny.

— Najlepiej wodę zimną! Nastusiu! przynieśno wody i ręcznika — woła konsyliarzowa, tuląc w swoich objęciach Wandzię.

— Mówię pani, tylko zimny nóż przykładać! — rzecze zafrasowana babcia przeciskając gwałtownie nóż przez rączki dziewczęcia.

— Dajże pani pokój z tym nożem! — ofuknie konsyliarzowa — już ja sama wiem jak robić!

— Ale moja pani — odpowie obrażona bab- cia — i ja też sto razy może leczyłam dzieci i wiem co pomaga.

— Proszę pani zostaw to mnie, ja tu jestem od tego.

Babcia tylko kiwnęła głową i odeszła z owym nożem rozirytowana do żywego. Tymczasem przyniesiono wodę, wyszedł i Bolesław ze swego pokoju, pytając czy ni[^] zraniła głowy.

— Małe stłuczenie, niech pan będzie spokojny, potrzyma ręcznik z wodą przez kwadrans, i ani znaku nie będzie...

— A widzisz Wandziu, jak to nie dobrze być tak roztrzępaną — rzecze ojciec całując ją w głowę.

— Proszę tateczki... — zaczęła mówić z płaczem dziewczynka, lecz pani konsyliarzowa nio pozwoliła jej kończyć; ucałowała ją tylko z niezwykłą czułością i na rękach odniosła do córki pokoju.

Wandzi zmieniano ciągle zimną wodę, a tymczasem między matką a córką toczyła się p₀ francusku żywa narada o podsłuchanej rozmowie, i zdecydowano, aby dziś jeszcze przypuścić ostateczny atak do serca pana Bolesława.

— Już niech mama mi zostawi swobodę działania — rzecze panna Klotylda kropiąc swe suknie pachnidłami — proszę tylko żeby nam nie przeszkadzano przy fortepianie...

Matka, dla której słowa córki były wyrocznią zajęła straż przy drzwiach wiodących z jadalnego pokoju do sali, i z drżeniem serca oczekiwała skutku kokieteryi swej córki.

Przegrawszy jedną sztukę na cztery ręce, nastąpiła pewna pauza, wśród której słyhać tylko było kiedy niekiedy nieregularne uderzenia w klawisze, i cicha przytłumiona rozmowa przerywana głośniejszym odezwaniem się panny Kloty Idy.

Pani konsyliarzowa nadstawiała ucha ku drzwiom, lecz z urywanych i nieco ironicznym tonem wymamianych słów córki, nie mogła zmiarkować jak daleko zaszła rozmowa, gdy w tem Jadwinia, najstarsza córka Bolesława, przyszła z zamiarem wejścia do salonu.

— Moja Jadwiniu teraz nie można tam iść — rzecze odskakując od drzwi pani Ludwika.

— A to dla czego 1 — pyta naiwnie panienka — chcę powiedzieć dzień dobry pannie Klotyldzie...

— Nie potrzeba; czy ty myślisz, że Klocia do was tu przyjechała z wizytą, teraz zajęci są graniem i ojciec prosił, żeby mu nie przeszkadzano.

Nie wiadomo, czy Jadwinia wyszedłszy z jadalnego pokoju spotkała gdzie babcię Petronełę i powiedziała jej o tej odprawie, czy sama babcia tknięta jakimś przeczuciem, bo i to się kobietom zdarza, czy wreszcie doniesienie Owsiańskiego, że srokaty wół nagle zachorował, zmusiło szanowną damę do odszukania syna, dość że weszła za chwilę po odejściu Jadwini do pokoju, pytając o Bolesława.

— Gra na fortepianie z Klocią, i prosił aby nie przeszkadzano — odpowiada pani konsyliarzowa zajmując pozycją przed drzwiami do salonu.

— Matka nigdy synowi nie przeszkadza — rzecze zarumieniona staruszka, i odsunawszy na bok zmięszaną konsyliarżową, wchodzi szybko do salonu.

Pan Bolesław, który trzymając w swych dłoniach rączkę promieniejącej Kloci, patrzył w jej oczy jak w tęczę, zerwał się nagle z taburetu i wybiegł naprzeciw matki pytając, co się to stało?

— Oto przepoili woły w gorzelni i wszystkie zachorowały, srokaty już upadł — proszę cię pójdz prędko i daj trokara, Owsiański czeka... Tylko prędzej, prędzej, bo będzie za późno — woła biorąc go za rękę i ciągnąc z salonu, obrzuca Klocię złowrogiem spojrzeniem.

— Bolesiu! -- mówi dalej już w gabinecie, gdy syn przewraca różne sprzęty w szufladzie biurka — czyś ty zwaryował?...

— Tu gdzieś był — mówi jakby do siebie Bolesław wysuwając drugą szufladę... To zawsze tak, jak trzeba to nie ma... Czy bardzo wydeję?

— Zawsze mniej od ciebie — odpowiada stojąc za nim babcia — Widocznie, coś ci zadały te intrygantki.

— Już jest, jest ten trokar — odpowiada wstydząc się spojrzeć na matkę Bolesław — i porwawszy za czapkę wybiega szybko na dziedziniec folwarczny.

Jak się się tam skończyła kuracya chorych wołów, tego nie umiemy objaśnić, lecz w chwilę potem pani konsyliarzowa z córką mogły widzieć z okna salonu, jak pan Bolesław chodził i chodził dość długo z babcią po przed stajniami, jak ona przekładała mu coś bardzo energicznie machając rękami, a on to się odwracał od niej zdąsany, to znowu w żywej giestykulacyi niby zapewniał, niby tłumaczył, nareszcie zwrócili się oboje do otwartych drzwi stajni i dawali jakieś dyspozycje stangretowi.

Mm pan Bolesław powrócił do pokojów, Piotr stangret otworzył z trzaskiem wrota wozowni i za chwilę wytoczono powóz na dziedziniec.

— Co to ma znaczyć? — spytała córka konsyliarzowej.

— Albo my wyjedziemy, albo babcia odjedzie — rzecze babcia obserwując gorączkowy pospiech stangreta — w każdym wypadku sprawa nasza źle stoi.

— Dla czego? — zapyta z pewną ironią Klotylda — ja tak łatwo nie ustąpię z placu. I gdyby mama nie wpuściła tej starej intrygantki* byłby już u nóg moich.

— Nie mogłam przeszkodzić... formalnie odtrąciła mię odedrzwi.

— Bo mama nie umie Bobie nigdy nadać żadnego .tonu; zawsze ta służalczość, ta unizoność, i dla tego nikt jej nie szanuje... Nie potrzeba się było rozbijać, a tylko zrobić taką mnie...

— Moje dziecko cóż, ja zrobię kiedy nie umiem. Tobie pan Bóg dał pańską postawę i hardą dti- sę, to co innego, a ja nie mogę... chcę a nie mogę...

Do obiadu nie pokazała się ani babcia, ani pan Bolesław, który kazał powiedzieć, że jest słaby i jeść nie będzie — prosił tylko, aby mu przysłano zimnej wody i octu na głowę...

Mimo groźnych spojrzeń córki, pani konsyliarzowa sama zaniósła ten ocet i wodę do gabinetu dziedzica. Drzwi zastała zamknięte...

— Kto tam? — pyta Bolesław.

— Przyniosłam panu ocet...

— Ach przepraszam bardzo, ale jestem rozebrany, bardzo dziękuję pani, proszę niech mi Jasiek przyniesie...

— Co panu jest?

— Dostałem szalonej migreny...

— I z czego? — pyta dalej przez drzwi konsyliarzowa.

— Nie wiem, zmęczyłem się zapewne przy tych wołach...

— Może doktora... Zdaje się Piotr gdzieś pojechał...

— Nie, nie, tylko proszę o ten ocet i wodę... bądź pani spokojna, przejdzie to wkrótce...

Zachodziła w głowę pani konsyliarzowa, dociekając gdzie pojechał Piotr z powozem. Pytała Owsińskiego, ten udął że nie wie, pytała chłopca ze stajni — ten również nie wiedział, a tylko domyślał się że gdzieś daleko, bo pan kazał mu wziąć pół korca owsa.

Do samego wieczora ponura cisza panowała w skalinieckim dworze, podobnie jak to ma miejsce przed burzą, lub przed rozpoczęciem pierwszej batalii. Pani konsyliarzowa chodziła jak struta; dzieci tuliły się po kątach patrząc na zachmurzoną minę ochmistrzyni, nawet panna Klotylda udawszy się z książką na spacer do ogrodu, nie mogła spokojnie usiedzieć na jednej ławeczce, a biegała to tu to tam, zapomniawszy podtrzymy

wać ręką wlokący się za nią ogon, zrywała piękne astry i obskubywała je wkrótce bez litości.

Wcześniej niż zwykle ułożono się do spoczynku, tylko w pokoju babci świeciło się dość długo, a pani konsyliarzowa mogła dojrzeć, że Nastusia szła coś na wielkim stole, podnosząc często igłę z nitką do góry — widocznie podszywała kołdrę świeżem prześcieradłem.

Późno już w nocy, turkot pojazdu zataczającego się na dziedziniec rozbudził panią konsyliar-zowę. Przytuliwszy twarz do szyby, zobaczyła, że powóz zatrzymał się przed bocznymi drzwiami wiodącymi do pokoju babci, i wysiadło zeń dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Po uściskach serdecznych nowo-przybyłej z babcią, domyśliła się strapiona konsyliarzowa, że to musi być siostra pana Bolesława z mężem, że wezwano ich umyślnie w jakiejś ważnej sprawie, a przecucie jej mówi ło, że ta sprawa do jej osoby się odnosi.

Pani konsyliarzowa jakkolwiek bardzo zręczna i przytomna kobieta, tym razem kompletnie straciła kontenans, i nie wiedziała, czy się ubrać i przyjąć nowo przybyłych, czy też udać, że nie wie o niczem. Nagle, przypomniała sobie zarzuty córki, że nie umie nadać sobie odpowiedniego tonu, położyła się więc napowrót do łóżka nie mogąc już zasnąć do samego rana.

Tymczasem pani Urszula, bo to ona była rzeczywiście, ulokowała się w pokoju matki, Ja-

cysia miał zabrać do swego gabinetu pan Bolesław. Przyniesiono kipiący samowar, pościel była przygotowana; Nastusia jakby odrodzona z przybyciem pani Urszuli, u której przedtem służyła, kręciła się ochoczo, a gdy już skończono picie herbaty, wyprawiła ją babcia spać do oficyny, i zamknawszy drzwi na klucz, rozpoczęło tajemną między matką i dziećmi naradę.

Pan Jacenty, który nie żałował sobie rumu pijąc herbatę, usiadł z wielką powagą w fotelu, zapalił fajeczkę, słuchał i pykał i głową kiwał na to, co mówiła babcia, lecz gdy to kiwanie zaczęło się powtarzać w miarowych odstępach, jednym razem już nie był w stanie podnieść głowy do góry, ale zostawiwszy ją na piersiach, usnął niedosłuchawszy rezultatu konferencji.

Nie możecie żądać odemnie, kochani czytelnicy, abym zdradził przed wami treść narad spiskowców zdążających do wykonania zamachu stanu. Byłoby to z waszej strony bardzo nietaktowne wymaganie, nawet od takiego waszego przyjaciela, jakim jest autor. Babcia dozwoliła mu wstępu na to posiedzenie, zatem nie może on lekceważyć jej zaufania; starzy ludzie nie lubią długich języków. Ot lepiej wystawcie sobie, że już jest dzień, i pójďte ze mną do jadalnego pokoju, gdzie pani konsyliarzowa z niezwykłą starannością przygotowywała śniadanie.

Ciężkie to zadanie leży na tych biednych powieściopisarzach, gdy przyjdzie opisywać akcją kilkunastu osób, chwycić nie tylko ich słowa, ale gesty, spojrzenia, intonacją głosu, i te nieujęte piórem ani pędzlem nawet drobne oznaki wrażeń, malujące się na twarzach rozmawiających. Prócz arkusza papieru i pióra zmaczanego w atramencie, nie mamy nic więcej w naszym warsztacie; a zatem zrzuciwszy pychę z serca, musimy skłonić się pięknie czytelnikom i prosić ich o pobłażanie, a następnie o dopełnienie imaginacją tego wszystkiego, co autor chciał napisać a nie potrafił.

Stół duży białym jak śnieg obrusem nakryty, samowar kipi w jednym końcu, obok niego stoi maszynka do kawy otoczona błękitnym płomieniem palącego się spirytusu. Na tacy mnóstwo lśniących szklanek z łyżeczkami w środku — obok cukier- niczka, kilka garnuszków ze śmietanką i z tak grubym kożuszkiem, że można je przewrócić a śmietanka się nie wyleje. Dalej na około stołu serwetki i noże — rumiana bułka zgrabnie pokrajana piętrzy się po salaterkach — a ułożone w różne figlasy kulki masła, aż się proszą, żeby je napocząć.

Dzieci czyściutko ubrane i uczesane przechodzą się koło stołu spoglądając łakomie na suche ciastka ustawione na środku. Wandzia ma zawiązane czoło chustką, a najmłodsza Jadwinia na

bocznym stolczku rozbija żółtko do czekolady dla panny Klotyldy.

Na twarzy pani konsyliarzowej widocznie niewyspanej osiadła głęboka zaduma, poprawia ubranko aksamitne na głowie, strzepuje okruszyny bułki z fartuszka, chodzi niespokojnie poprawiając coś na stole, i spogląda to do kredensu, to do gabinetu dziedzica, a wreszcie do drzwi od sali, z kąd ma się pojawić wbrew zwyczajowi Klotylda.

Babcia a za nią pani Urszula weszły pierwsze. Na głęboki ukłon pani konsyliarzowej, którą Bolesław siostrze rekomendował, ta ostatnia odpowiedziała lekkim skinieniem głowy, zajmwszy miejsce przy stole.

Pani Urszula jest sobie starsza nieco od Bolesława, rumiana i pulchna brunetka. Ubrana skromnie i zapewne podług zaszłorocznej mody, ma jednak w swej fizyonomii coś imponującego, a przynajmniej taką chciała się wydać w tej chwili. Z wielką swobodą nie ścieśniając się wcale obecnością pani konsyliarzowej, rozpoczęła potoczną rozmowę z matką i bratem, przyjmując usługi ochmistrzyni jako rzecz zwyczajną pomimo komicznoślagalnej miny brata, który widząc, na co się zanosi, więcej niż zwykle był niespokojnym.

— Już to pani dobrodziejce muszę oddać sprawiedliwość — odzywa się w dobrej myśli do konsyliarzowej Jacenty — że kawa jest wyśmienita.

— Bardzo jestem szczęśliwa, że panu smakuje — odpowiada kłaniając się z wdzięcznością.

Urszula spojrzała groźnie na męża, lecz ten zajęty wyskrobywaniem kożuszka ze śmietanki, nie widział tego napomnienia.

— Urszulko — rzecze do żony — powiedz mi, dla czego u nas nie ma takich grubych kozuchów, hę?

— Bo widzisz ja gospodaruję na swoim, a to zupełnie inny rachunek rządzić u siebie, a rządzić u kogo.

— I u nas nie zawsze bywa taka śmietanka... — dorzuca babcia.

— Owszem, zdaje mi się, i pan Bolesław poświadczy — przerywa konsyliarzowa — że kawa u nas zawsze taka sama. Mój nieboszczyk mąż, człowiek bardzo wybredny w jedzeniu, przyzwyczaił mię do takiego porządku i tak samo było u nas, gdym gospodarowała u siebie...

— Eh moja Urszulka, to zawsze tak wymęczy tę śmietankę, tak wybiera... a jednak gust męża powinien być przede wszystkim, prawda pani? — rzecze Jacenty.

— Za pozwoleniem pani — przerywa Urszula — kto to jest ten pan Bolesław ?

— Ma się rozumieć ja — rzecze wesoło brat — wszyscy przywykli mię tak nazywać..

Przyznam ci się cokolwiek za familiarnie...

Opiekunowie wdowcu.

— Zdaje mi się, że tern nie ubliżam nikomu — odparła czerwieniąc się konsyliarzowa.

— Ja nawet nie przypuszczam, żeby pani mogła tu komubądź ubliżyć... Pytałam dla tego, że zrazu nie rozumiałam o kim pani mówi. A zresztą jeżeli mój brat lubi taką poufałość...

— Moja Urszulko, proszę cię — mówi żywiej z pełnemi ustami bułki Jacenty — tylko też nie nazwij Bolesia demokratą... (Idzie on demokratą, on co całe życie chorował na pana!

— A, w takim razie muszą być inne przyczyny tej familiarności...

Wejście nagłe panny Klotyldy z salonu przerwało tę zakrawającą na zaczepkę rozmowę. W czarnej bareżowej sukni, wymuskana, wypudrowana, wypachniona panna Klotylda weszła śmiało darząc kłaniających się mężczyzn słodziutkim uśmiechem.

— Panna Klotylda, córka pani konsyliarzowej — rzecze Bolesław przedstawiając ją siostrze — a to moja siostra Urszula i jej mąż pan Jacenty.

Na zgrabny dyg i chęć podania ręki, pani Urszula nie podnosząc się z krzesła oddała zimny ukłon nie zaprzestawszy pić herbaty, Bolesław z gracyą przysunął krzesło do stołu, a konsyliarzowa ucałowała z czułością jej czoło, pytając, czy podać kakao.

— I owszem proszę mameczki — mówi nie tracąc miny Klotylda — tylko żeby nie było gę

ste., dziś czuję jakiś ból gardła, nie mogłabym przełykać.

— Zobacz no, jakie ona ma ręce — szepnął do Bolesława Jacenty — ależ to kije nie ręce; widzisz przez te rękawy....

— Mamo kochana za słabe kakao — odzywa się mieszając łyżeczką w podanej sobie filiżance Klotylda — proszę dolać... Panie Bolesławie, jakże dziś głowa?... Nie mogę sobie darować, że nie posłałam panu wczoraj jednego proszku guarany... Jest to nieomylny środek — na ból głowy. Jadwigi proszę cię, przysuń mi sucharki... I pani musi być dobrze zmęczona, słyszałam przyjechaliście państwo bardzo późno, a te nasze barbarzyńskie drogi nawet najlepszym powozem to tak rozdrażnić potrafią...

— Prawda że szkaradnie zła droga u ciebie Bolesławie... — odzywa się Jacenty nabijając fajeczkę.

— Pannie Klotyldzie szkodzi dym tytoniowy — szepnie półgłosem Bolesław.

— A ja przeciwnie bardzo lubię ten zapach — wtrąca Urszula — i nie wierzę, żeby miał komu szkodzić.

— Pal, pal — dodaje babcia mrugając na zięcia...

Pan Jacenty zapalił fajeczkę, a babcia Peronela zwróciła się z niedopitą szklanką herbaty

do Nastusi, prosząc aby jej dołała wody, bo jest za mocna.

— Przepraszam mamę, ja tu jestem od tego — zawoła zrywając się z krzesła pani Urszula, i odebrawszy szklankę z rąk służącej, biegnie do samowara i dolewa wody. — Czy dobrze tak? — pyta stawiając na powrót szklankę przed matką.

— Dziękuję ci moje dziecko, niepotrzebnie się trudziłaś...

— A do kogoż to należy usługiwanie matce, jak nie do córki? Mama nas tak wychowała i tak być powinno. Wierz mi mama, że ile razy widzę przeciwnie, to bardzo źle muszę sądzić o rozumie takich matek, i dobroci serca ich dzieci. Pani długo tu już bawi u brata? — pyta dalej zwracając się do Klotyldy...

— Doprawdy trudnoby mi policzyć — odpowiada Klotylda bawiąc się łańcuszkiem od zegarka ~ pan Bolesław jest tak uprzejmym gospodarzem, że czas szybciej tu bieży niż myśl człowiecza. Ma- meczko — rzecze zwracając się do konsyliarzo- wej — dopomóż mojej pamięci, jak ja tu długo bawię?

— Zdaje mi się coś dwa miesiące...

— Nie przypuszczam, prawda panie Bolesławie... to nie może być, żeby tak dawno... mnie się zdaje że dwa tygodnie a trzy najwyżej...

— I ja nie pamiętam — mówi wciąż niespokojny gospodarz.-

— Ty poeta — wtrąca pykając fajeczkę Jacenty — ty nigdy nic nie pamiętasz... Pewnie nie wiesz, ile kóp pszenicy n ciebie...

— Coś będzie ze czterysta...

— Pięćset dwadzieścia jeden — dodaje babcia — sama ci dyktowałam.

— I tobie gospodarować, tobie... — rzecze klepiąc go po ramieniu szwagierek, gdy tymczasem pani Urszula zwraca się ku pannie Klotyldzie...

— I obowiązki pani pozwolą tak zapominać o czasie |

— Ona cierpiąca — dodaje konsyliarzowa stając za krzesłem córki.

— Cóż tam elewki pani poczną przez tak długie wakacje ?

— Moje elewki? — odpowiada śmiejąc się przymusowo Klotylda.

— Tak, słyszałam, że pani jesteś w obowiązku gdzieś na Wołyniu.

— Ja w obowiązku? Nie pani, widocznie źle panią poinformowano; ja bawiłam u mojej koleżanki z pensyi, hrabiny M... na Wołyniu... i tylko dla tego, żeby mieć jakieś zajęcie, ot tak po prostu z nudów^f udzielałam lekcji muzyki i angielskiego języka dzieciom jej siostry..,

— Aj dobrze, że też raz widzę osobę, która mówi po angielsku — wtrąca ucieszony Jacenty. — Nie słyszałem nigdy tego języka, a jak mi mówił cyrulik z miasta, który mi zawsze spuszcza włosy,

a który był w Anglii, że to ma być bardzo śmieszny język. Czy to prawda, że to co u nas się mówi: Jak się masz? — to u nich tak jak indyk: Uj duj du... Albo ta wyspa gdzieś koło Anglii, co to królowa tam jeździ na lato, jakże ona się nazywa,..

— Wight — mówi Bolesław.

— To, to, to... ale po angielsku to trzeba gwiznąć, ot tak, — kończy wydawszy zwyczajne świśnięcie ustami...

Wszyscy się roześmieli słysząc te naiwne przekonania pana Jacentego, jedna tylko Urszula udała poważną, prowadząc dalej z panną Klotyldą przerwana rozmowę...

— Sądzę, że wielką krzywdę robisz pani tym dzieciom siostry swej koleżanki, przerywając ich naukę, słyszałam bowiem, że pani jesteś tak poetyczną i sercową osobą, że wszyscy ją tylko uwielbiają. Muszą biedne dzieci tęsknić.

— Jestem przekonana, że tak jest — odpowiada Klocia nie pojmując jeszcze znaczenia słów pani Urszuli. — Rzeczywiście zanadto może mam sentymentalności w swem sercu, ale cóż robić, taka już moja natura i dlatego zkad wyjeżdżam, zostawiam zawsze po sobie tęsknotę...

— Czy tylko dzieci? — pyta naiwnie Urszula, spoglądając z boku na Bolesława.

— O innych nie wiem, ale co do dzieci, to rzeczywiście staram się być dla nich jak najlepszą.*.

— Zapamiętaj że sobie to Bolciu, żebyś wybierając kiedyś drugą matkę dla swoich dzieci, przede wszystkim uważał Da te przymioty. I pani sędzę — mówi dalej zwracając się do konsyliarżowej — jesteś także samą amatorką dzieci, nieprawdaż ! bo zkadże córka pani mogłaby nabrać tych drogocennych przymiotów podbijania serc ludzkich.

— O, ja rzeczywiście przepadam za dziećmi...

— Nawet wtenczas gdy przeszkadzają podsłuchiwać podedrzwiami cudzej rozmowy !..

_ Nie rozumiem, co pani chce powiedzieć.

_ Zaraz pani wyjaśnię: znałam jedną osobę,

która podobnie jak pani oto u brata mego podjęła się za dobre pieniądze zastępowania im matki. Była to bardzo porządna kobieta, wykształcona i nadzwyczaj zakochana w swoich pupilach. Podobnie jak pani miała córkę, którą pod pozorem choroby sprowadziła do domu wdowca.

— Moja Urszulko — rzecze wstając Bolesław — zkad ci przysła do głowy taka historia.

— Jest prawdziwą, tylko posłuchaj dalej... Panna była młoda, wdowiec nie stary, i coś dziwnego, że owa pani zapragnęła do grona oddanych jej w opiekę dzieci dołączyć samego papę jako zięcia...

— Ależ to cudowna historia! — przerywa śmiejąc się przymusowo Klotylda.

— Zkąd ty tam Urszulko takie rzeczy wydobywasz ? Przechodzę myślą wszystkich naszych znajomych, i nic sobie nie mogę przypomnieć, gdzie to było...

- Grdyby szło o jakiego barana z fałdowanym karkiem — rzecz wesoła żona — to ręczę żebyś pamiętał. A tymczasem — mówi dalej pani Urszula — ta pani raz chciała podsłuchać rozmowę owego wdowca, jaką prowadził ze swą matką w gabinecie,.. Niestety chciało, że jedna z córeczek jego wszedłszy do pokoju, przerwała tę szlachetną czynność szpiegowania; zirytowana i przepadająca za dziećmi ochmistrzyni tak potrafiła silnie ową córeczkę, że upadła na róg stołu i skaleczyła sobie czoło do krwi... Szczęście że czoło, bo gdyby tak trafiła na skronie, zabiłaby się na miejscu...

Konsyliarzowa stała jak słup spuściwszy oczy, panna Klotylda siliła się wprawdzie kierować swoje ku pani Urszuli, ale mimo pudru i bielidła, silny rumieniec oblał jej twarz wywiędłą. Tymczasem pani Urszula skończywszy swoją historyę, przyciągnęła stojącą obok Wandzię i tuliła ją do siebie odwiązawszy chustkę zakrywającą wczoraj zrobioną szramę na czole...

Pan Bolesław, który błagalnie zwracał poprzednio wzrok swój ku siostrze, miarkując, że zabiera się na jakąś awanturę, spojrział teraz nagle ku Wandzi, i zrozumiał wszystko. Jak człowiek

nagle obudzony, kiwnął tylko parę razy ironicznie głową konsyliarzowej, i wyszedł z pokoju...

Panie wstały również, skłoniły się grzecznie konsyliarzowej, dziękując za śniadanie, a gdy panna Klotylda nie tracąc przytomności zapytała pani Urszuli, jak ona ma sobie tłumaczyć słyszaną historię, szanowna siostra Bolesława rzekła już we drzwiach salonu:

— Nie radzę paniom naśladować tych pań, o których mówiłam, bo by się mogło jeszcze gorzej skończyć niż z tamtymi. Widzę panno Klotyldo, że rumieńce pani pokazują znaczne polepszenie zdrowia, proszę więc w imieniu tych dzieci z Wołynia, nie daj im dłużej tęsknić...

— Ależ panią uprzedzono, to nieprawda zWan- dzią — krzyknie konsyliarzowa — to brudne oszczerstwo, sama upadła...

— Któż tu mówi o Wandzi, dlaczego pani cudzą historię bierzesz do siebie?

— Za moją pracę, za moje poświęcenie...

— Nie wątpię, że brat mój jest w stanie zapłacić ! Bądź pani spokojna co do jednego grosza zapłaci... — dokończyła Urszula zamykając drzwi za sobą od salonu...

— Cięta moja kobieta, oj cięta! — rzecze wstając od stołu Jacenty i idąc ku gabinetowi szwagra.

— Szanowny panie, pan jesteś człowiek rozsądny i z sercem, proszę cię wysłuchaj — rzecze,

zatrzymując go we drzwiach konsyliarzowa — co pańska żona chce od nas?

— Chciałaś pani,... dalibóg ja nie wiem...

— Wszak słyszałeś pan całą rozmowę...

— Z początku pani dobrodziejko, z początku tylko, bo jakem zaczął szukać w głowie tego wdowca, o którym ona rozpowiadała, takem trafił na jednego, stąd o mil pięć, który wprawdzie nie ma drobnych dzieci, ale śliczną stajnię krów holenderskich. A że ja pani dobrodziejko potrzebuję stadnika, więc kalkulowałem sobie, czyby nie było bliżej ztąd pojechać.

— Co mameczka będzie zajmować te^o pana naszymi sprawami — przerywa córka odciągając matkę od pana Jacentego — najlepiej zażądać koni i wyjechać.

— Pozwólże moja Klociu, niech ja się wytłumaczę przed panem. Pani Petronela, mama żony pańskiej, widocznie nagadała na mnie.

— A już to prawda, że babcia lubi dużo gadać...

— Ale to wszystko nieprawda, to intryga tylko, żeby mię ztąd usunąć, proszę szanownego pana, powiedz to panu Bolesławowi, ja się wytłómaczę jak było...

— Mameczko, to ubliżające dla nas, ja się nigdy do tego stopnia nie pozwolę mameczce poniżać...

— Więc nic nie mówić? — pyta Jacenty...

opiekunowie wdowcu.

— Proszę pała ani słowa! — mówi Klotylda...

— Może to i najlepiej będzie — dodaje Jacenty. — Z kobietami to jedyne lekarstwo przeczekać!
Ile raz jak zaczął, mi kotłować głowę tra ta ta, tra ta ta... a ja pani dobrodziejko słucham, słucham i nic.. Burza
przejdzie, zapomną, a tak najgorzej im odpowiadać, to oliwa ua ogień, oliwa... Upadam do nóżek pani
dobrodziejce!

Rządy przejściowe.

Tak tedy babcia Petronela z córką utrzymały za sobą plac boju. Konsyliarzowa z Kłocią wyjechały tego samego dnia. Pan Bolesław zniknął, uprosiwszy Jacentego, żeby się obrachował z niemi i zapłacił co wypadnie. Dzieci, jak zwykle te biedne dzieci, przy odjeździe spłakały się żegnając z panią konsyliarżową, Wandzia szlochła najgłośniej, a najstarsza Jadwinia poprzysięgła Kłoci dozogonną przyjaźń.

Nastąpiło objęcie tymczasowej władzy przez zwycięzców, rewizya kredensu, rewizya bielizny i garderoby, w których pokazały się wielkie szkody i zaniedbanie, że Bolesław nie mógł się wydziwić, gdzie to wszystko, co nieustannie kupował, podziać się mogło?

— Zawsze tak będzie mój synu — tłumaczyła mu staruszka — jak nie wglądniesz sam...

— Ale gdzież mnie mężczyźnie wdawać się w liczenie szklanek, talerzy, pilnowanie srebra lub koszul dziecięcych?...

— Ha, inaczej być nie może, kiedy nie masz

żony...

— Mówię ci Bolku — wtrąca Jacenty — tylko się nie żen, nie rób tego głupstwa drugi raz, szklanki dyabli biorą to prawda, ale ci przynajmniej nikt głowy od rana do nocy nie suszy...

— Myślałby kto — rzecze z pretensją Urszula — że ja taka zła jestem i żeś ty nieszczęśliwy...

— Broń mię Panie Boże, abym kiedy tak myślał — odpowiada na pół przestraszony Jacenty — ale widzisz, ja trzymam się zdania nieboszczyka mojego ojca, który zawsze mi mówił: „Jacusiu pamiętaj, że nie ma najszcześniejszego męża, któryby sobie przynajmniej trzy razy dziennie nie zadał tego pytania, nota bene po cichu: „Po co ja się ożenił?*

— Oj ty, ty, facecyonisto! — rzecze Urszula szarpiąc go za wąsy — ty, aby powiedzieć coś śmiesznego, gotówesć rodzoną matkę na plac wyprowadzić.

— Dobrze, moi kochani — odzywa się przy obiedzie Bolesław — zrobiliście jedno, wyprawiliście mi te panie, i sami chcecie jechać, a ja co?

— Ożeń się i kwita!

— Daj no pokój z temi żartami; tobie śmiech a mnie strach bierze, co ja będę robił dalej?

— Nie kłopotz no się, mój Bolciu — mówi Urszulka — myśmy już wszystko uradzili. Widzisz, tobie nie potrzeba pani w domu, ale gospodyni, któraby pilnowała porządku i w kredensie i w kuchni i wszędzie. Otóż taką kobietę mamy dla ciebie gotową. Właśnie odprawiła się od państwa Kociubowskich taka niemłoda już kobieta, wdowa, która sześcioro dzieci swoją pracą odchowala, a rządna, oszczędna i zna się na wszystkim; nazywa się Czapczyńska... Jutro pošlesz po nią furmankę...

— Dobrze; powiadacie, że porządna, niech i tak będzie, przynajmniej nie będzie mi rozbijać dzieci i tyle kosztować.

— I nie ma takiej córki, któraby na cztery ręce grywała z tobą — dodaje Jacenty. — Ma jedną niezamężną, ale to garbate biedactwo i szwaczka... Jednak ta żyrafa z kijami zamiast rąk, trochę ci zajechała do głowyprzysznaj się...

— Niech będzie po twojemu — mówi dalej Bolesław — a jakże nauka?

— I o tem pomyślałyśmy; weźmiesz Józefinkę?

— Tę starą tłusciochę, kuzynkę Jacentego?

— Gdzież ona stara — rzecze Urszulka — w moich latach, dziś może mieć trzydzieści trzy, cztery najwyżej.

— Aha, panu zachciewa się młodej! — wtrąca Jacenty.

_ Nie, nie, nie — dodaje babcia — żadnej młodej. Józefinka bardzo a bardzo w głowie ma dobrze; gra, śpiewa, była w tylu porządnym domach.,

— Dopiero będziecie ciągnąć razem „O Halino, o jedynkoL.” dalibóg ona cię wycyzy śpiewać po swojemu, oj wycyzy! — żartuje Jacuś.

— Przestańże z temi dowcipami — strofuje go żona. — Jak jej dasz — mówi dalej do brata — dwieście reńskich, to ci przez rok więcej nauczy dzieci niż taka Kłocia za trzy... Zresztą Józefinka nie jest żadna obca osoba; nie spodoba ci się, to przyjedzie do nas, i nie będzie miała żadnej pretensyi.

— A mnie dopilnuje roboty płótna, którego tkacz nie wykończył, bo zna się na tem. Kobieta spokojna, rozsądna, lubi prawie mówić a nie pochlebiać w oczy jak ta konsyliarzowa...

Zgodził się, bo cóż miał innego postanowić Bolesław, i na drugi dzień rozesłano furmanki po nowy rząd dla domu wdowca.

Instalacja odbyła się krótko, pani Urszula jednak spisała własnoręcznie cały inwentarz domowy obliczywszy, ile jest czego, i jeden egzemplarz schowała Bolesławi do biurka, aby wiedział co ma. Panna Józefina zajęła się dziećmi, a że znały ją już od dawna, obyło się zatem bez tych ceremonii i łamania pierwszych lodów wzajemnej obserwacji.

v|»iuuuuwnj WUOWCa.

Ciekawe tylko mogą być instrukcje, jakie opiekujące się damy udzielały nowo przybyłym.

— Tylko też moja Czapkosiu — mówi babcia — nie wyciągajcie biedaka na wydatki! Tamta porządnie go kosztowała a nie ma nic. Jak najmniej kupować, pamiętaj...

— Proszę łaskawej pani — rzecze Czapczyńska, krępa, już siwiejąca lat pięćdziesięciu brunetka — czy tni to pierwszy raz prowadzić na wsi gospodarstwo? Tyle swoich dzięki Bogu wychowałam z pracy oto tych rąk moich.

— Brat mój przedewszystkiem lubi spokój — dodaje Urszula — nie cierpi kłótni, skarg, zachmurzonych twarzy...

— A czegoż bym miała się chmurzyć, albo robić niepokoje... Ja nikomu wody nie zamączę... swoje zrobię, dzieci dopilnuję...

— I z panną Józefiną trzeba być delikatnie, grzecznie, to anioł a nie kobieta...

— Eh proszę pani, chyba mię kto ogadał czy co przed panią; czy ja to nie wiem, co się komu należy? Ona ma swoje, a ja swoje...

— Moja Czapczyńsiu, i pamiętajże też o panu; on zawsze taki roztargniony — mówi babcia — jemu trzeba wszystko podać, przyrzadzić, sam nigdy się o nic nie do pomni...

— Niechże łaskawa pani będzie spokojna — mówi Czapczyńska — mój nieboszczyk, świeć Panie nad jego duszą, to taki był grymaśnik, co Boże

Opiekunowie wdowca.

uchowaj, a już w ostatnich czasach to taki przykry i mantyczny, że nikt mu nie mógł dogodzić. A jednak jak miał konać, to mi powiedział: Kasiu niech ci Bóg przebaczy, jeżeli ci co złego zrobił w życiu... Tak proszę łaski pani przy świadkach powiedział — kończy Ozapczyńska ocierając łzy w oczach...

Z panną Józefiną znowu inna była rozmowa;

— Józefko moja droga — rzecze babcia — tylko mu nic nie obwijaj w bawełnę a mów prawdę. On zanadto jest delikatny i panicz, nie wiem zkąd mu się to wzięło, dla tego każdy stara się skorzystać z niego. Napędzaj go też do gospodarstwa, niech chodzi, niech pilnuje; straszny z niego marzyciel i uczony. O jakichś głupich chmurach będzie ci gadał dzień cały, a nie wie, co się dzieje w stodole i oborze... Klucze też od spichrza niech będą u niego. On temu Owsieńskiemu wszystko tak zawierza, a choć to uczciwy człowiek, ale zawsze strzeżonego Pan Bóg strzeże...

— Proszę pani, czy mię posłucha pan Bolesław...

— Nie bój się, posłucha, ja go znam, tylko mu ciągle trzeba kłaść toż samo w głowę...

— Spróbuję...

— Tak, tak, zrób, o co cię proszę...

— I dzieci też niech mają w tobie matkę, moja Józefinko — dodaje Urszula. — To biedactwo tak zaniedbane, szczególnie uważaj na

Adólka, on go najmniej lubi, a to takie dobre dziecko...

— Proszę cię moja Urszulo, a toż ja tu na to będę...

— I z tą Czapczyńską zgodnie...

— Cóż ma do mnie Czapczyńska ? — przerywa jakby obrażoną trochę panna Józefina — ona sobie, a ja sobie.

— I dopilnuj też tkacza, aby te ręczniki miały dwa łokcie i pół długości, tylko niech robi ściśle, nie jak sito, bo to od łokcia się płaci... Zagląдай też do niego.

— Józefinko — mówi wchodząc na to Jacenty — zasługuj mi się wdowcowi, zasługuj, tylko z daleka pamiętaj!

— Wuj to tylko zawsze w żartach.

— No, no ty masz oczki takie, coby kamienie młyńskie poruszyły, A on nie od tego, jak się nazywa. I do tej lafiryndy, co tu była, już, już topniał jak wosk. A ręce mówię ci miała tak grube jak oto moja laska. Co innego twoje — rzeczce chwytając siostrzenicę za rękę powyżej łokcia. — To mi panie ręka aż miło, obiema dłońiami nie obejmiesz.

— Stary, stary! — odzywa się odciągając go za połę surduta małżonka. — Myślałby kto, że on co?

— Dajże pokój tym karesom i jedźmy! lawoła babcia pakując resztki manatków do kufra,

I

Teraz dnie krótkie a nocować nie chcę na tej grobli pod Byczynami...

Pojechali też niedługo, a pan Bolesław został sam z nowym dworem. Dla usprawiedliwienia się przed rodzicami, napisał obszerny list do babci Klingerowej, zamieścił w nim wypadek z Wandzią i smutny rezultat kosztownego gospodarowania pani konsyliarzowej, wreszcie pobyt i intencje panny Klotyldy; przeproszał, sumitował się, aby mu tego za złe nie wzięto, że nie zatrzymywał obydwóch kobiet. List ten wyprawił na pocztę przez umyślnego coś w parę dni po odjeździe rodziny, tymczasem ten sam posłaniec w zamian przyniósł mu już gotową odpowiedź, to jest pismo siostry żony, pani notaryuszowej następującej treści.

Szanowny panie Bolesławie!

Wszyscyśmy przypuszczać nie mogli, żebyś Pan, człowiek dobrze wychowany, szlachetny, postąpić mógł w ten sposób z kuzynkami naszymi. To więcej niż niegodziwie, to bez serca. Wiedz, że Klocia dostała zapalenia płuc i krwotoków ze zmartwienia, matka jej od rana do nocy we łzach, ojciec nie chce słyszeć o Panu, a mąż mój wybiera się w tych dniach do Skalic dla uregulowania interesów majątkowych nieletnich sierót. Jeżeli z tego powodu spadną na pana przykrości, możesz podziękować za nie tylko godnej rodzinie swojej, która nie miała litości nad osobami za-

sługującymi więcej może niż kto inny na szacunek i względność Pana. Mama moja tak jest rozżaloną i roznerwowaną, że pisać nie może. Racz Pan ucałować odemnie te nieszczęśliwe dzieci, ofiary intryg, i przyjąć zapewnienie szacunku... etc.

— Masz tobie, nadciąga nowa chmura — pomyślał Bolesław, chowając zmięty list do kieszeni... Jaki mi ton dyktatorski! Cóż oni sobie myślą, że ja ciągle mam chodzić na ich pasku! Opieka jakaś nieproszona...

Był zirytowany do żywego, rzucał się, tupał nogami dając sobie słowo, że nie będzie już pisywał do nich i że noga jego więcej tam nie postanie. Chodził po gabinecie wielkimi krokami, wyjmował list, czytał i znowu odgrażał się dowodząc, że da sobie rady i bez nich, a mimo to wkradała się do serca jakaś obawa, zapowiedziany przyjazd notaryusza, którego nie lubił, dręczył go, niepokoił, odejmując swobodę myśli.

— No, dalibóg już lepiej mieć jedną żonę niż dziesięć opiekunek — mówił sam do siebie. A to się uwzięły na mnie, z jakiego tytułu? No proszę, będą mi dyktować jakieś prawa!... I pracuj że tu umysłowo, zajmuj się badaniami naukowymi, kiedy nie masz jednej chwili spokoju!... Nie to, to co innego... A mój święty Boże, kiedy też ludzie przestaną się troszczyć o mnie i moje sieroty!...

Tymczasem nowe rządy w domu rozpoczęły się od robienia porządków. Czapczyńska biegła

jak fryga,, wszystko myli, trzepali, przestawiali, żądając jego rady i decyzji. G-ospodyni wierna danej sobie instrukcyi oszczędzania, zmniejszyła obiady na dwie potrawy, a i te przygotowano w superfinowych dozach i niesmacznie; z kuchni odprawiono połowę kobiet, te szły na skargę z płaczem, że ich na zimę wypędzają, a choć Czapczyńska nie dopuszczała ich do dziedzica, to łapały go w ogrodzie, na polu, w stodole, narzekając na krzywdę. Owskiński, czego nigdy nie bywało, nudził go kilka razy na dzień raportując, co się dzieje w gospodarstwie, przychodził wieczór z kluczami od spichrza i te razem z przywiązany rogim jelenim pompatycznie wieszał na gwoździu przy drzwiach gabinetu.

— Co ci przyszło do głowy mój Owskiński, nudzić mię swojemi gadaniami...

— Taki jest rozkaz pani starszej, tak radziła guwernantka... Z przeproszeniem wielmożnego pana, to porządna sobie kobieta, choćby i ta Czapczyńska; wstaje do dnia i przy świecy repe- ruje panienkom to bieliznę, to sukienki... Moja żona powiada, że daleko szukać takiej pracowitej kobiety... W kuchni proszę pana posłuch jest; ona sobie nie da w kaszę dmuchać, wczoraj jak zamalowała Nastusię, co jej się hardo stawiała, to aż miło*.. Jedyna na gospodynię!

Panna Józefina znowu wzięła się równie energicznie do dzieci; żadnej ciepłej wody do mycia...

„A to co za pieszczoty!... Nastusiu zimną, zimną, nie pytaj a myj!”

Olejek rycynowy, jaki gdzie był, wyrzucono ze dworu, na co psuć żołądek dzieciom... One nie są chore a poprostu zagłodzone. Mięsa dużo, mleka, ruchu, zahartowania się, a nie będą chorować. Wyegzaminowawszy je z różnych przedmiotów, pokazało się, że prócz kilku frazesów po francusku, nic nie umieją.

— Proszę pana — mówi wchodząc do gabinetu ojca — niech pan będzie łaskaw być przytomnym przy egzaminie, żeby pan wiedział, jak są dzieci usposobione...

— Panno Józefino — rzecze myśląc o tym liście notaryuszowej — zrób to sama, ja nie mam czasu...

— A nic nie pomoże, pan musi być przy tem. Jakto? żeby ojciec nie chciał wiedzieć, co jego dzieci umieją? proszę pana...

Bardzo niechętnie, jednak wprowadziła go do pokoju dzieci, i przez całe dwie godziny zmusiła słuchać wszystkich odpowiedzi na czynione im pytania.

— Jakiej metody życzysz sobie pan, abym się trzymała?

— Trzymaj się pani jakiej chcesz — odpowiada wymykając się z pokoju — aby tylko nauka szła dobrze i żeby dzieci korzystały...

Za godzinę przychodzi znów do niego pytać się o książki, niedługo żąda papieru, popołudniu prosi, żeby urządzić im gimnastykę — wieczór melduje, że Jadwinia kładzie sobie korki do trzewików i pokryjomu pudruje twarzyczkę...

Przez delikatność pan Bolesław słuchał tego wszystkiego, potakiwał, dawał, obiecywał, ale czuł, że ta panna Józefina nudzi go i męczy bez litości. Jeszcze w głowie siedział tylko obiecany przyjazd notaryusza, i myślał ciągle nad tem, czyby gdzie nie wyjechać z domu i uniknąć nieprzyjemnego spotkania.

Dla ludzi podobnego temperamentu jak pan Bolesław, wszelka niepewność i oczekiwanie burzy, bywa stokroć więcej męczącym niż sama burza nawet z piorunami. Kładąc się spać myślał, że może w nocy przyjechać — wstając rano, tylko wyglądał oknem czy nie widać jakiej bryczki pocztowej na wielkim gościńcu. Sto razy już wy- koncyrował cały plan rozmowy z poważnym szwagrem:

— Powiem mu z góry zimno to i to, on znowu to — a ja uśmiechnę się tylko i wzruszę ramionami...

Przewidział sprzeczkę, ubezpieczył się w odpowiedzi na wszelką ewentualność, nawet był przygotowany drzwi mu pokazać w ostateczności. Tymczasem minął tydzień, i notaryusz się nie

pokazywał, a od babci Klingerowej żadnej odpowiedzi na list przez siebie pisany.

— Czego się będę męczył — rzekł jednego poranku — może nie przyjedzie wcale — ot lepiej wezmę się do mojej pracy o kierunku chmur.

W gabinecie swoim miał całą kolekcję różnego rodzaju barometrów i innych narzędzi służących do obserwacji stanu pogody. Był tam i kapucyn z kapturem, i przyrząd do mierzenia ilości spadłego deszczu, i wiatromierz i rozmaite preparata chemiczne łatwo przyjmujące wilgoć. Na oknie stał duży stół z pijawkami a drugi z zieloną żabką i drabinką w środku. Po wszystkich stołach rozłożone były dzieła traktujące o meteorologii, jakieś rejestra pokratkowane, w które wpisywał kilka razy na dzień różne cyfry i znaki.

Otworzył biurko po owym poprzednim monologu, i wyciągnąwszy dość spory rękopis, zaczął go odczytywać z uwagą, robiąc na marginesie różne dopiski ołówkiem.

W tem weszła panna Józefina.

— Przyszłam do pana na pogawędkę — lekcya z dziećmi skończona, dobrze dziś umiały wszystkie, ale tak mam skolataną głowę, że potrzebuję trochę oderwać myśli... Przepraszam pana, może mu przeszkadzam w pracy? — rzecze spostrzegłszy, jak pan Bolesław z niechęcią składa swój rękopis.

— Ale nie, i owszem — odpowiada podając jej krzesło — ja wiem, że u nas nudno, i rad jestem, jak mogę się trochę rozerwać...

— Powiedz mi pan, co znaczą te wszystkie instrumenta ?

— To są narzędzia służące do obserwowania zmian atmosferycznych, któremi się od lat dwóch zajmuję. Jeżeli pani ma czas i cierpliwość, odczytam pani rozprawę moją o wiosennym kierunku chmur deszczowych.

— I owszem, posłucham.

Pan Bolesław odchrząknawszy, otworzył znowu rękopis i z całym przejęciem się czytał ustępy za ustępami, dowodzące wpływu na roślinność i temperaturę, chmur deszczowych podczas wiosny... Ustępy te przeplatały sprawozdania z wysokości barometrycznych z całą skrupulatnością w różnych porach dnia notowane, a mające przekonać czytelnika, że od kierunku tych chmur zależą szarugi kwietniowe i zimna trwające zwykle u nas w połowie maja...

— Powiedz mi pan — odzywa się Józefina, gdy Bolesław dla odpoczynku zaprzestał czytania — na co się to wszystko zdało?

— Jako na co?

— Te wszystkie pańskie dowodzenia. Czy rozprawą swoją wpłyniesz pan na zmianę tego kierunku chmur i zapobiegiesz zimnej temperaturze?

- Ależ to pani są badania, materiały dla meteorologii...
- Daruj pan, ale bezużyteczne. Sam Bóg kieruje wiatrami i nikt nie zaprzecza tego, ani też dowodzić nie potrzeba, że jak wieje wiatr północny, to północny, a jak wschodni to wschodni.
- Ale dla czego ?
- Co komu po tej ciekawości...
- Dziwi mię, że pani tak wykształcona osoba a lekceważysz wszelkie badania natury?
- Prowadzące do niczego...
- A, na miłość Boską jak można tak mówić. Właśnie że meteorologia najwięcej potrzebuje obserwacji, porównań, dociekań, aby z nich odnaleźć prawa rządzące światem...
- Przyznam się, ja tak głęboko nie sięgam, jednak na pana miejscu wolałabym przypilnować gospodarstwa, niż męczyć sobie głowę nad rzeczami nie mającymi żadnej wartości... Nie mówię gdybyś pan badał wzrost roślin, wartość nawozów, budowę inwentarza...
- Hm — odrzekł śmiejąc się z politowaniem Bolesław — pani widzę na życie i działalność człowieka zbyt się realistycznie zapatrujesz. Kochana pani, nie samym chlebem żyje człowiek...
- O ja wiem, że i pieczeńią, jarzynami itp., choć mówiąc nawiasem, z kąd oni tu mają w tej okolicy tak brzydkie mięso? Uważał pan takie chude, niesmaczne, żyłowate, a zawsze prawienie

świeże. Dla dzieci pana zagłodzonych, taki pokarm nie może iść na zdrowie...

Pan Bolesław tymczasem zwinąwszy swój manuskrypt, schował go do szuflady biurka, zapalił papierosa, i uśmiechając się ironicznie zaczął chodzić żywo po pokoju...

— Jak pan uważa, czy dzieci mogą się żywić takim mięsem ?

— Co pani mówiła?

— O mięsie...

— Sądzę, to należy do Czapczyńskiej i kucharza...

— Ale gdyby im pan powiedział o tem, możeby się postarali o lepsze... mnie nie wypada.

— Dla mnie i takie bardzo dobre...

— I o tych piecach na zimę wartoby pomyśleć...

— O, już co do pieców, to proszę dać mi pokój, mam je tu — dodaje pokazując na szyję.

— Dzieci pomarzną, ja pamiętam, jak tu było zimno za nieboszczki żony pana.

— Eh jakoś nie pomarzły dotąd, to i w tę zimę nie zmarzną — odpowie patrząc na ruch skazówki barometru — wie pani, że niedługo będziemy mieli śnieg...

— To przynajmniej trzeba im sprawić ciepłe trzewiczki na flaneli.

— I owszem niech pani kupuje...

— I koldry cieplejsze...

iUiJ

— Dobrze, ile na to potrzeba? — mówi coraz lakoniczniej Bolesław w widocznym życzeniu, aby sobie panna Józefina poszła jak najprędzej...

Zmiarkowała i ona tę chęć wdowca, i wcale nie zrażona pierwszą rozprawą, wyszła postanowiwszy przy sposobności powtórzyć swoje rady. Jedna rzecz tylko zrobiła jej przykrość, że przez cały czas dopiero co opisanej gawędki, pan Bolesław nie spojrział na nią ani razu, choć wyglądała dzisiaj wcale dobrze, i idąc do gabinetu odkryła część ramion ponętnie zaokrąglonych, czego nie robiła kiedy indziej. „To człowiek ślimak” powiedziała sobie — ale zobaczysz, jeżeli ja cię nie nawrócę do zdrowego rozsądku...

— Nudna i zarozumiała o swym rozumie stara panna — myślał sobie Bolesław po jej odejściu — Boże ty mój, jak to dawniejsze wykształcenie kobiet było powierzchowne — nic nie rozumieją a wiele o sobie myślą... Nic, tylko radzić i radzić; co się nie da zrealizować na pieniądze, nie ma u nich wartości...

Nie długo zjawia się na progu niby zaaferowana Czapczyńska z wdzięcznym uśmiechem.

— Nie ma tu panny Józefiny?

— Dopiero co wyszła...

— Musiała pana wynudzić; doba panna, o dzieci dba i uczy ich jak się należy, ale okropnie lubi radzić...

— To wszystkie kobiety starsze mają do siebie...

— O przepraszam, o mnie tego pan nie powie,
czy nudzę go kiedy jakimi sprawunkami?...

— Prawda.

— I ma jakieś szczególniejsze upodobania n. p. do kotów. Sprowadziła sobie brzydką kotkę od ekonomy z trzema kociętami, i nic tylko się nimi zajmuje. A daj mleka pani Czapczyńska, a tu krowy dają tak mało, że na śmietankę do kawy nie wystarczy... W piecach już każe palić, bo jej zimno... gniewy ogromne, jak kto drzwi nie zamyka za sobą... Co to jest proszę pana — mówi ciszej — że te wszystkie stare panny to lubią ciepło i koty albo psy?...

— A jakież pani miała do niej interes ? — pyta chcąc przerwać te zwierzenia Bolesław...

— Do niej to nie wielki... chciałam zapytać* czy każe kupić spirytusu? posyłam właśnie do miasta po sprawunki.

— Na cóż jej spirytusu ? — pyta wdowiec.

— Ot, zachcenia nic więcej, proszę pana sprowadziła sobie maszynkę do gotowania kawy i popołudniu sama gotuje kawę, bez cykoryi, tak zupełnie czystą. Wychodzi wprawdzie dwa razy tyle kawy, ale niech ją tam... Powiedziałyby, że jej załuje, a ja nie lubię w domu ani kłótni, ani obmawiań...

— Tak moja Czapczyńska najlepiej, dać jej, niech gotuje...

— Tylko i ja chciałam powiedzieć panu, na co trzymać tego kucharza? Dobry człowiek z niego, ale ekspensowny strasznie; co nam proszę pana po kucharzu?

— Któż będzie gotował?

— Albo ja to proszę pana nie potrafię, jeszcze lepiej jak on; wezmę dziewczkę z folwarku, a jest tam jedna sprytna Małgośka, pokażę jej, przypilnuję, i będzie kosztować sto złotych na rok a nie sześćset. A tak jeszcze wszystko zrób, wszystko podaj; mięsa dużo, masła dużo, a z kądże wielmożny pan będzie brał na to wszystko?...

— Eh, niechby był, spokojny człowiek, jest tu już parę lat...

— Nie taki on tam spokojny, jak się wydaje, nie; proszę pana ma on swoje fanaberye, a wypić też lubi...

Otóż w ten sposób rozmawiając i pochlebając wdowcowi, że jest aniołem a nie mężczyzną, wymogła, że kucharzowi wypowiedział miejsce.

— Przychylna i oszczędna kobieta — pomyślał sobie Bolesław — ta jeszcze ujdzie; widzę skapi, dzieciom łąta bieliznę i suknie, no i chodzi nie źle koło gospodarstwa.

Za kilka dni przyszła kolej na Nastusię, potem na stangreta Piotra, dwóch parobków również odprawiono, jako buntujących czeladź, a przyjęto służbę podług wyboru Czapczyóskiej.

Powoli, powoli przebiegła gospodyni umiała pozyskać całe zaufanie dziedzica i de facto trzęsła całym dworem. Pan Bolesław był dla niej z wielkim respektem, zawsze rano mówił jej „dzień dobry”, dziękował za obiad i dzieciom kazał być z wielkim dla niej szacunkiem. Czasami wieczorem, gdy przyszła na radę do jego pokoju, próbował jej wyklądać zasady meteorologii i korzystał z jej doświadczenia co do przepowiedni pogody z zachowania się ptastwa domowego.

Panna Józefina nie mogła pozyskać takich względów; pamiętając na instrukcję Urszuli była niezmordowaną w prawieniu morałów dziedzicowi i napędzaniu go do zajęć gospodarskich. Kazała mu być obecnym przy nauce dzieci, podziwiać łagodność kotów i zbiór osobistych wdzięków, co do tego stopnia męczyło tego kapryśnego człowieka, że nieraz udawał chorego, aby się wywinąć od poufnych gawędek niezmordowanej prawdomówczyni. Grzecznym był dla niej, i z całym uszanowaniem, oceniał jej pracę około edukacji dzieci — ale powiedzmy prawdę, nie podobała mu się zupełnie jako kobieta.

Pozornie zdawało się, że wszystko idzie zgodnie i gładko we dworze skalickim, jednak lepiej wtajemniczeni w sprawy domowe dostrzegliby, że antagonizm dwóch rządzących kobiet wzrastał z dniem każdym, i cicha podjazdowa walka nie ustawała. Jeden tylko Owsiański, który mimo że

lis

nie miał wiatromierza, doskonale umiał ocenić, z kąd ten wiatr wieje, potrafił być neutralnym wobec wszystkich walk i intryg dworskich — szczęśliwy człowiek! I on miałby to i owo do powiedzenia, widział, jak się garnkami wysyłało masło, słonina, kasza i tym podobne legnminy do miasta, gdzie mieszkała zamężna córka Czapczyńskiej, ale że dobrze było co rano wypić kieliszeczek dobrej wódki z panią gospodynią, dostać kilka cygar z pokoju pana — udawał, że nie wie o niczem, i basował przed Bolesławem na nutę oszczędności i przywiązania do dworu pani Czapczyńskiej. Guwernantce kłaniał się z daleka. Adolfowi strugał pałasze z gontów, a nowemu stangretowi faworytowi gospodyni pozwalał samemu chodzić do spichrza po obrok. Opiekunowie wdowca.

V.

Opozycja podnosi głowę.

Przez długi czas pan Bolesław nie wyjeżdżał nigdzie z domu, zajęty siewami oziminy i pracą nad owym kierunkiem chmur na wiosnę, tak dalece, że nawet przez kilka niedziel nie był na nabożeństwie. Panna Józefina przypomniła mu jednak tę okoliczność, proponując aby dziś jechali z dziećmi do kościoła. Zgodził się chętnie na to, i w zaprzężony dzielną czwórką powóz usiedli oboje z guwernantką, a troje starszych dzieci na przodzie. Panna Józefina była w wyśmienitym humorze, a że do kościoła trzeba jechać dobrą milę po nierównej drodze, pan Bolesław żartował sobie z jej przestachu, skoro powóz się nachylił i lękliwa panna chwyciła go pod rękę...

— Byłoby najlepiej — rzecze wesoło Bolesław zamierzając objąć ręką jej kibić — żebyś tak trzymała panią z całej siły, inaczej przy lepszym wstrząśnięciu znajdziesz się pani na ziemi.

8*

— Ho, ho — rzecze wśród śmiechu dzieci — ja jestem trudna do utrzymania.
— Spróbuj pani — ot nadjeżdżamy na wielki wybój...
— Proszę nie żartować — mówi niby obrażona — do takiej pomocy, jaką mi pan chcesz ofiarować, trzeba mieć większe prawa.
— Kto ma mieć — pyta Bolesław — ja, czy pani?
— Naturalnie, że pan.
— Więc niech mi ich pani udzieli.
— Jeszcze za w ześnie, poczekam jak zrobię się tak wątko-poetyczną na wzór gustu pana, na- przykład podobną do panny Klotyldy.

Bolesław, który dobrze zrozumiał do czego ta rzecz prowadzi, zrećnie skierował rozmowę na inny przedmiot, lecz ta okoliczność utrzymała pannę Józefinę w dobrym usposobieniu do końca podróży.

Postępując przez cmentarz kościelny, na którym również chowano zmarłego, dostrzegł nasz wdowiec jakiś nowy wspaniały pomnik z białego kamienia, ustawiony jak mu się zdawało obok grobu jego małżonki. (My dzieci weszły do kościoła, skierował kroki w to miejsce i jakież było jego zdziwienie, ujrawszy, że ten pomnik stoi na grobie żony tak, iż zasłania zupełnie ten, który on przed niedawnym czasem kazał ustawić.

— A to co? — zawoła rozgniewany, a gniew ten przeszedł w oburzenie po odczytaniu następującego napisu: „Siostra zmarłej w imieniu pięciorga ofiar sieroctwa, ten pomnik nieodżałowanej matce i siostrze postawiła, prosząc o pobożne westchnienie”.

Cały zapłoniony z gniewu, wpadł do zakry- sty, pytając księdza, kto śmiał zrobić mu taką złośliwą profanacją?

Proboszcza samego nie było, a ksiądz wikary mógł go tylko objaśnić, że przed tygodniem przywieźli ten pomnik z Krakowa, że był tu jakiś wysoki i szczupły jegomość, który robotę zadysponował, że naradzali się z proboszczem i że dziś ub jutro ma tu być ten sam jegomość dla ukończenia rachunków z murarzami.

— Proszę mię natychmiast uwiadomić jak on przybędzie — błagał księdza wikarego zirytowany wdowiec — ja na jego głowie rozbiję tę masę kamienia... widzę ja w tem rękę szwagierka no- taryusza... To rodzaj zemsty, ale niskiej zemsty.

Gdy wracali do siebie, panna Józefina podzielała w zupełności oburzenie wdowca, a on sam wahał się, czy nie wziąć z sobą rewolwera i zabić na miejscu tę złośliwą żmiję w osobie szanownego notaryusza.

Inaczej wszakże musiał kombinować pan no- taryusz Łucyan, po południu zjechał sam do Skalic, i miał tyle odwagi, że uściskał trzy razy

w swoich objęciach kochanego i dawno niewidzianego szwagra Bolesława.

Jest to niemłody już mężczyzna, w czarnej błyszczącej peruce, chudy, cienki, wysoki a tak serdecznego usposobienia, że całując po kolei wszystkie dzieci Bolesława rozpląkał się na dobre.

— Bolesiu! — rzecze biorąc go za obie ręce i wlepiając łzawy wzrok w jego oblicze — jakiś ty mizerny, znękany... Nie możesz zapomnieć tej straty, widzę jeszcze nie możesz...

— A jednak zdrow jestem...

— Tak ci się zdaje...

— I gdyby nie wasze szykany...

— Panno Józefino — przerywa notaryusz wyjmując z tłumoczek różne prezenta dla dzieci, — proszę rozdzielić to pani, niech się pobawią trochę i ucieszą... Dobrze i bardzo ładnie wyglądają, powinszować pani troskliwości o te sieroty...

Ile razy Bolesław miał zamiar wystąpić z pytaniem o ten grobowiec, tyle razy notaryusz potrafił skrócić rozmowę na co innego, aż dopiero po obiedzie gwałtem prawie wciągnął go do swej kancelaryi.

— Wystaw sobie — zaczął sam notaryusz — w jak trudnym znalazłem się położeniu, czyniąc zadość życzeniu żony z tym pomnikiem.

— Nie spodziewałem się po Lucynie takiej złośliwości nie do przebaczenia.

— Poczekaj że Bolesławie i nie przesądźaj rzeczy, dopóki wszystkiego nie usłyszysz... Najprzód nikt z nas nie wiedział, żeś ty już grobowiec postawił... Daję ci słowo honoru nie wiedzieliśmy. Bo przyznaj sam, jaki cel byłby kupować, sprowadzać...

— A jednak...

— Powoli, powoli — wysłuchaj że mię. Nie wiedząc o niczem kazałem wysłać pomnik i majstrów i napisałem do proboszcza, aby go kazał ustawić.

Bolesławowi za dużo było tej niewinności pana notaryusza, więc uniósł się na prawdę i krzyknął:

— Kłamstwo! — byłeś sam!

— Byłem prawda, ale gdy już pomnik do po. łowy ustawiono, proboszcz amator sztuk pięknych tak był zachwycony robotą tego grobowca, że jak mówił dla ozdoby cmentarza zdecydował się na tym samym grobie postawić go.

— Ja go każę rozrzucić...

— Wolno, ja nie mam nic przeciw temu. Ale sam powiedz, jak ja się mógłem inaczej rozporządzić ?

— A napis? ten napis na szykanę... Kto was upoważnił robić to w imieniu moich dzieci, które nazwaliście sierotami ?

— Czyż nie sieroty?

— A ja co? czy nie ojciec ich!

— Zawsze to mój drogi dzieci bez matki, to sieroty... Zresztą zanadto jesteś drażliwy; czem się tu irytować!

— Sąsiedzi będą żartować ze innie.

— No, no, jakoś poradzimy... U nas wszyscy myśleli, że drugi raz żeniąc się mógłś zapomnieć o pierwszej małżonce — ale nie mieli racji, widziałem ładny stoi nagrobek...

— Kto powiedział, że ja się drugi raz żenię?

— Mój kochany, czego się tłumaczysz — rzecz klepiąc po ramieniu Bolesława notaryusz. — Jesteś młody, krew gorąca...

— Daję ci słowo, nie myślałem.

— Wiemy, wiemy! siostra twoja Urszula pisała przecież do jednej przyjaciółki, że panna Józefina zakreśliła ci trochę pod sercem... Nie dąsaj się... to porządna osoba, i do tego nie szpetna... dzieci jakoś do niej przyłgnęły...

— Zwaryowała czy co... Mój panie — mówi już zniecierpliwiony Bolesław, przybierając bardzo poważną postawę — proszę sobie żartów ze mnie nie robić. O żenieniu wcale nie myślę, a gdybym nawet pomyślał kiedy, to w żadnym razie nie o Józefinie...

— Niech i tak będzie, przypuścimy; jednak nie radziłbym wojować z opinią, która zawsze będzie przeciw tobie, gdy będziesz trzymał guwernantki. Już lepiej ożenić się...

— Jak widzę — mówi coraz bardziej unosząc się Bolesław — wyście się tam uwzięli rozciągać nademną opiekę!

— A jakże chcesz? Tu idzie o dzieci po córce i siostrze. Zastanów się tak bez uprzedzeń a przyznasz, że mają prawo wiedzieć, kto będzie matką tych biednych siorót.

— Czy dałem powód do tej obawy? — pyta wdowiec.

— Oj podobno, że dałeś i wielki powód dałeś — rzecze wzdychając notaryusz. — Odsuńmy na bok wszelkie okoliczności, jak naprzykład namowy, ale już samo to, że jesteś młody jeszcze mężczyzna z czułym sercem i możesz się podobać...

— Komuż się tak podobałem?

— A panna Klotylda?

Bolesław tylko się uśmiechnął wzruszywszy ramionami.

— Jednak ja ci mówię na seryo, że dziewczyna ta zakochała się w tobie szalenie i dziś widocznie umiera z tej miłości... Nie kiwaj głową, nie — mówi dalej notaryusz — bo jeżeli kiedy będziesz miał jakiś grzech śmiertelny na sumieniu, to ten w obec rozpaczony jej biednej matki będzie najcięższy.

— Mogę go przyjąć — odpowiada cokolwiek zmieszany wdowiec — nie dałem powodu.

— O tem wszystkim inaczej ludzie mówią, a nawet sama Klocia nie tai, żeś dawał pewne obietnice i nadzieje. Ztąd też ogromny krzyk na

ciebie w całym żeńskim obozie u nas. Kobiety wiesz w tym względzie bywają solidarne, i matka mojej Lucynki, i ona sama i konsyliarzowa uważają cię za potwora, za Don Żuana, za zdrajcę... A jak się jeszcze dowiedziały, że masz się żenić z inną...

— Straszne rzeczy! — zawoła zdesperowany Bolesław, chwytając się za głowę. — Co ci ludzie ze mną wyrabiają! Nie dosyć, że straciłem żonę, że z pięciorgiem drobnych dzieci rady sobie dać nie mogę, że się staram dać im jakie takie wychowanie, to jeszcze ci, którzy mi powinni dopomagać, ułatwiać — sami mnożą trudności, kłopoty i zmartwienia. I tak co dla was dobre, mojej familii złe, co moi radzą, to wasza strona potępia. Wziąłem konsyliarżową, zgoda — trzeba zaraz żeby mi sprowadziła córkę, i żeby się ta zakochała we mnie... Wyjechały — wziąłem drugą niemłodą, brzydką, poprostu nauczycielkę, już mi z nią żenią i już biadają nad moimi dziećmi...

Notaryusz milczał, udając współczucie nad biednym wdowcem, który chodził i chodził po gabinecie trąc włosy z desperacji.

— No, więc powiedz mi, rzecz zatrzymując się po chwili przed szwagrem — co ja mam robić? Poradz ty rozsądny człowieku...

— Iść za popędem serca? odpowiada z powagą notaryusz...

— Ożenić się może?

...

Opiekunowie wdowca.

— A choćby...

— Z Mm? — pyta już z uniesieniem Bolesław. Może z tą sentymentalną Klocią, dlatego, żeby nie umarła, a razem z nią bierz obłudną mamę, która rozbija moje dzieci?

— Ja o tem niewiem.

— Ale ja ci powiadam że tak jest, tak było! z jednego jarzma iść pod drugie...

— Gdybyś miał zaufanie do mnie — rzecze wstając notaryusz i ściskając rękę Bolesława — to radził bym ci kompletną neutralność.

— Nie rozumiem tego...

— Jeżeliś wydalil tamte, to wydal i te, a tym sposobem usuniesz zarzuty naszych kobiet... Niech ani jedna ani druga strona nie ma żalu do ciebie że ich niesłuchasz.

— Dobra rada, rzecze z ironią Bolesław — żeby potem obie dręczyły mnie swemi zarzutami. Dziękuję, wolę choć z jednej strony mieć spokój.

— Jak chcesz, mój drogi...

— Bo nawet, przypuszczam, że zrobię jak radzisz, to powiedz sam do czego to doprowadzi? Dzieci ledwie oswoiły się z panną Józefiną, nauka już idzie porządnie, naraz zmiana frontu i jedź do miasta, szukaj nowej guwernantki i weźmiesz Bóg wie co — jakąś złošnicę albo niezdolną...

— Na to już nie mam instrukcyi — mówi wzdychając notaryusz. — Dlatego powtarzam swoje,

tej wymów miejsce, przyjedź do nas poradź się, a zobaczymy...

— Ja nie pojadę...

— To źle, z rodziną zrywać w ten sposób nie podobna... Bo widzisz, wiąza cię z nią i interesami majątkowymi... o których właśnie chciałem z tobą pomówić. Rodzice, a szczególnie ojciec Anzelm życzy sobie, abyś uregulował fundusze posagowe i zabezpieczył na imię dzieci...

— Więc boją się... przerywa ironicznie Bolesław — sądzą, że mogą skrzywdzić własne dzieci!

— O tym nie było mowy, lecz przyznaj sam, że los i przyszłość ich wnuków nie może im być obojętnym, zwłaszcza jeżeli zrywasz stosunki z rodziną i rady ich lekceważysz... Postaw się tak bezstronnie na ich miejscu, i powiedz, czybyś dowiedziawszy się, że twój zięć żeni się powtórnie...

— Sto razy mówiłem, że nie myślę.

— Dziś być może, jednak kto zaręczy za jutro — ja ci to mówię jako prawnik i znawca ludzi... Jesteś młody, wrażliwy, nie ta, to druga spodoba ci się i twoje dzieci naraz dostają macochę, która być może nie będzie po myśli dziada i babki...

— Zapewne, że tak być może... — odpowiada zamyślony Bolesław — trudno wszystkim dogodzić...

— Czasami to się udaje — mówi wolno notaryusz — jeżeli idzie się za radą tych, którzy mają prawo opieki nad dziećmi, ale trudno kogoś

przymuszać do szukania tej rady... Dlatego muszę ci powiedzieć bez ogródki, że poczyniłem stosowne kroki w sądzie, aby fundusze nieletnich były dostatecznie zabezpieczone...

— Więc chcecie tym sposobem zachwiać mój kredyt w okolicy, związać mi ręce...

— Tego zamiaru nie mamy naprawdę, choć przejrzawszy hipotekę Skalic, a w niej zaciągnięte przez ciebie długi po śmierci żony, wartoby trochę tę swobodę ograniczyć...

— Cóż chcesz, takie wypadki jak śmierć żony, i zaprowadzone rządy przez konsyliarżową do tego mię zmusiły... Ale dziś zupełnie co innego... taka Czapczyńska jest wzorem oszczędności... Róbcie więc co chcecie; opisuj, zabezpieczaj, kontroluj...

— Mój kochany Bolesławie, ty widzę masz mię za swego nieprzyjaciela, a ja ci powiadam, tak nie jest. Jako szwagier twój i życzliwy radzę porozumieć się z rodziną, a sądzę, każdy rozsądny człowiek to pochwali... Powiem ci więcej, wstrzymam się z wszelkimi czynnościami prawnymi, jeżeli mi dasz słowo, że odprawisz pannę Józefinę, i że w ciągu tygodnia przyjedziesz do Krakowa. A tymczasem proszę cię, daj mi ćwiartkę listowego papieru, napiszę parę słów do żony, bo nie spodziewam się tak prędko powrócić do domu.

Na mocy przywileju udzielonego powieściopi- sarzom, pozwolę sobie zacytować czytelnikom jeden ustęp z powyższego pisma notaryusza:

„Miałaś rację droga Lucynko; nasz wdowiec mięknie bardzo pod naciskiem okoliczności, nagrobek zrobił swoje, groźba opisu majątku odda go na waszą łaskę i niełaskę. Nie wątpię, że panna Józefina musi ustąpić, i że panna Klotylda znajdzie go niezadługo u nóg swoich. Dodaję w końcu, że płonne były obawy o tę Józefinę — jest brzydka, stara i gadatliwa panna, znosi ją tylko, ale widocznie nie lubi... konsyliarzowa może triumfować..!”

Notaryusz ucałowawszy wszystkich odjechał dnia tego, pozostawiając gorycz w sercu Bolesława. Co tu robić z tą Józefiną? Wydalić, jakoś nie ma powodu, a zresztą matka, siostra, szwagier Jacenty obsiędą go, zarzucą wymówkami, że tylko ulega tamtej stronie a ich zaniedbuje... Zostawić — tamci będą dokuczać, kłuć, szykanować, a na dzień tego wszystkiego spoczywa Klocia z konsyliarżową!...

— Miał rację notaryusz radząc neutralność! — powiedział sobie po chwili Bolesław — jestto jedyny środek wydobycia się z pod tej opieki. Zresztą niechże raz będę panem u siebie...

Powziąwszy takie heroiczne postanowienie, siadł do biurka, i w długim liście do siostry przedstawił jej wszelkie okoliczności, zmuszające go do zmiany rządów domowych; prosił w końcu, żeby zajęła się odwołaniem Czapczyńskiej i panny Józefiny w jego imieniu, gdyż nie ma odwagi sam tego uczynić. „Jutro jadę do Krakowa powtórzyć

toż samo Klingerom i poszukać zupełnie obcych kobiet, któreby się zajęły prowadzeniem domu w Skalicach i edukacją moich dzieci."

Uradowany z tego czynu odwagi cywilnej, zapieczętował list, oddał posłańcowi i z swobodniejszą myślą szedł do pokojów dzieci. Z sali jadalnej, przez którą wypadało mu przechodzić, doleciała go żywa bardzo rozmowa panny Józefiny z Czapczyńską.

— To nie do wytrzymania — mówiła panna Józefina u drzwi dziecinnego pokłju — dzień w dzień zepsute mięso... Ależ to można zatruć ludzi...

— Jednak nie widać, żeby panie szkodziło — odpowiada kręcąc się przy kredensie Czapczyńska, — Dziwna rzecz, pan je a nic nie mówi.

— Nawet koty jeść nie chcą... dalibóg przy takim jedzeniu niepodobna tu dłużej wysiedzieć. Chleb jak kamień, kasza stęchła, mleko przypalone, i gdyby nie kawa, to z głodu, możnaby umrzeć.

— To też to, że te koty potrzebują same funt mięsa na dzień... Fe!... kto to widział, aby taka panna guwernantka zajmowała się tylko kotami... muszę ja im sprawić bal kiedy...

— Lepiej żebyś pani zamiast czytania gazet zajęła się więcej domem i potrzebami dzieci niż moimi kotami...

— A panna z kąd masz prawo do rozkazywania ? — krzyknie głośniejsz Czapczyńska. — Co komu do

tego, że ja czytam gazety?... Ja tu nie znam nikogo do rozkazów prócz pana samego...

Bolesław uznał właściwem wejść na to do sali jadalnej. Panna Józefina cofnęła się prędko zamykając drzwi za sobą, a zaczerwieniona Czapczyńska wystąpiła od razu z energiczną skargą do wdowca...

— Proszę pana, to nie do wytrzymania z tą panną Józefiną! Wszystko jej źle, wszystko niedobre, twarde, niedopieczone. A miłosierdzie Boże, widziałam już tyle i wielkich pań, i księżne i hrabiny, a nie żadne guwernantki, i nie było takich kaprysów...

— Daj pokój pani! — rzecze półgłosem Bolesław machnąwszy ręką.

— Jak tu dać pokój, kiedy od rana do nocy tylko narzekania, tylko żale, to przed panienkami, to przed służbą. A i tak wychodzi tyle na dom, co niech Pan Bóg broni; mnie aż włosy stają na głowie na myśl, jak tu przyjedzie pani starsza z panią Urszulą i zobaczą rachunki...

— Moja w tern głowa — odpowiada Bolesław — a tymczasem proszę pani nie skąpić tak znowu żeby dawać aż liche mięso.

— To i pan jest przeciwko mnie! — zawoła z uniesieniem Czapczyńska, a w tej chwili otwierają się drzwi od pokoju dzieci, z których trzymając jakąś robótkę w ręku wchodzi panna Józefina...

— Przyznajesz pan sam, że jadamy zepsute mięso i co drugi dzień krupnik z kości...

— A kiedyż to bywa ten krupnik, kiedy? — krzyczy już zaperzona Czapczyńska.

Panna Józefina odpowiada na to, Czapczyńska nie daje jej dokończyć i znowu swoje; argumenta coraz ostrzejsze lecą jeden za drugim, w pośród których stoi pan Bolesław i nie może złapać wolnej chwili między ich rozmową, aby wystąpić ze swoją interwencją.

Gwar się wzmacnia, nic nie skutkują słowa dziedzica: „Ciszej, ciszej... za pozwoleniem... co to jest?.. / aż wreszcie zniescierpliwiony i oburzony nakrywa głowę czapką i wynosi się czempnę- dzej na dziedziniec...

— A to mię obdarzyli przyjemnym zarządem! mówi do siebie, biegnąc co tchu do oranżeryi... — Tak, tak, ma racją notaryusz, tylko neutralność...

Dano znać, że obiad na stole; musiał więc wrócić do domu, lecz jeszcze nie doszedł do ganku, gdy Czapczyńska zastąpiła mu drogę, żądając uwolnienia od służby.

— Dobrze — mówi lakonicznie Bolesław.

— Więc to tak służyć panu uczciwie i z gorliwością! — zawoła przedkładając rękami swoje argumenta. — Mam wdzięczność, mam za moje ślipanie po nocach nad reperacją ubrania dziecinnego... To tak, Czapczyńska w ką, bo pauna Jó-

Opiekuaowie wdowca. 9

zefina, panna Jó-ze-fi-na — powtarza rozkładając sylaby — ze mnie nie kontenta!

— Wszakże pani sama nie chcesz?

— No nie chcę... Ale to proszę pana boli, okrutnie boli taka poniewierka!...

Bolesław przyspieszył kroku, aby dopaść drzwi ganku i od razu znalazł się w jadalnym pokoju. Spojrzał — odetchnął, panny Józefiny nie było, tylko same dzieci z zapłakanymi oczyma siedziały na swoich miejscach. Nic nie mówiąc zastąpił gospodynię, rozlewając zupę po talerzach i tak przez cały obiad musiał to powtarzać z innymi potrawami, a po obiedzie obetrzeć buzie, i odwiązać fartuszki najmłodszym. Z ruchów jego ożywionych znać było, że jest w dobrym usposobieniu — sama opatrność szła w pomoc jego neutralności.

Jeszcze nie zdążył otworzyć drzwi do gabinetu, gdy dogoniła go z podsiniałymi oczami panna Józefina.

— Czy mogę prosić pana o chwilę rozmowy?

— I owszem, słucham — mówi przepuszczając naprzód zadąsaną nauczycielkę i zapraszając, aby zajęła miejsce na szeslongu.

— Dziękuję — mówi chłodno — nie wiele mam do powiedzenia — wobec sceny, której pan raczyłeś być niemyym świadkiem, nie pozostaje mi, jak tylko ustąpić tej pani.

— Której? — pyta udając naiwnego Bolesław.

— Czap-czyń-skiej — odpowiada rozkładając na sylaby to nazwisko...

— Więc pani chcesz mię porzucić tak, bez żadnej ceremonii?

— Jeżeli pan nie chciałeś sobie robić ceremonii ze mną i nie odezwać się ani słowem na moją obronę, to dla czegoż ja mam być lepszą od niego...

— Niechże przynajmniej pani zaczeka, dopóki nie przyjedzie matka moja lub siostra. Ja muszę jutro na kilka dni wydalic się z domu...

— Mogę jeszcze pozostać te parę dni...

— Bardzo mi przykro że tak jest, ale trudna rada, nie mogę się opierać jej żądaniu — odrzekł sucho Bolesław, obserwując stan barometrów.

— Ostrzegam jednak pana, że żadna jakaby to była nauczycielka, przy tej ordynaryjnej babie tu nie wytrzyma... Straszne rzeczy, jak te proste kobiety mogą się przy pobłażaniu rozzuchwalić...

Lecz wdowiec zajęty barometrami, nie odpowiadał nic na te uwagi panny Józefiny, a widząc, że ma jeszcze zamiar dalszego rozwodzenia swych żalów, wydobył pokratkowany zeszyt z szuflady, i z całym zajęciem zaczął notować rażno w nim cyfry. Panna zmiarkowała, że nie ma co czekać, odwróciła się więc niegrzecznie i wyszła trzasnąwszy drzwiami za sobą.

— Otóż muszę kuć żelazo póki gorące! — zawołał Bolesław zacierając ręce — i wydał polecenie Owsieńskiemu, aby na jutro były gotowe

8*

konie do wyjazdu. Jednocześnie napisał list do matki, donosząc o stanie wypadków i prosił, aby przyjechała natychmiast do pilnowania dzieci.

— Nic tylko neutralność, ścisła szwajcarska neutralność. Ja wiem, one gotowe się pogodzić; u kobiet tak łatwo o poróżnienie, jeszcze łatwiej o pogodzenie, ale ja nie będę czekał na to: klamka zapadła!

W tej myśli zatem, mimo zachmurzonego oblicza żegnających go kobiet, udał wielce poważnego, rzucając prośbę o opiekę nad domem i wyjechał do miasta pełen dobrych nadziei, jak człowiek, który wysiedziawszy karę więzienną, zobaczył świat i ludzi na nowo i zacznie marzyć, w jaki sposób urządzi się na przyszłość, aby zapomnieć przeżytych cierpień.

Piękny dzień jesienny z małym przymrozkiem, orzeźwił jego myśli i plany co do ugłaskania całej Klingerowskiej rodziny. Liczył na pomoc notaryusza, który mu neutralność zalecał.

Na stacji kolei wypadało mu jakiś czas poczekać na pociąg; w pokoju prócz niego było już kilka osób, starszych i młodszych, lecz między nimi przy samym wejściu uderzyła go fizyonomia jednej kobiety, która, jak mu się zdawało, gdzieś już była mu znaną. Średniego wzrostu, nadzwyczaj żywa i fertyczna blondynka, lat może trzydziestu, kręciła się po sali, to przenosząc z kanapy na kanapę swoje manatki, to zamawiając posługaczy,

aby jej to wszystko podali do wagonu, to wreszcie niecierpliwie wyglądając przez okno, czy pociąg nie nadjeżdża. Ile razy przypadkiem zwróciła w jego stronę duże swe niebieskie oczy, Bolesław coraz więcej był przekonany, że ją gdzieś widział, że ten naiwnoprzenikający wzrok nie jest mu obcym — lecz gdzie i jak, przypomnieć sobie nie mógł. Czasami zdawało mu się, że i ta pani spogląda lal, ukradkiem, że nawet robi tak uśmiechając się minę, jakby się bawiła jego niepokojem, oczekując pierwszego kroku z jego strony.

Sądzę, że niejednemu z czytelników moich przytrafiło się nieraz podobne zdarzenie, łatwo zatem pojmie szczególniejsze zainteresowanie się Bolesława nieznajomą osobą. „Gdzie i kiedy ja ją widziałem” mówimy sobie, przywołując na pamięć różne okoliczności życia, i zaczynamy szperać w tych składach dawniejszych wrażeń, i męczyć się i niecierpliwić, a mimo to zagadka zostaje zagadką. Częstokroć pokaże się, że osoba ta podobną jest tylko do innej, którąśmy rzeczywiście znali, często rysy takie przypominają dawno widziany gdzieś portret, lub wreszcie wymarzoną w chwilach szczęścia fizyonomię. Jeżeli twarz taka była nam sympatyczną, śledzimy tę osobę, aby się dowiedzieć, kto ona jest rzeczywiście, albo też przeciwnie dajemy za wygraną niepamięci.

Pan Bolesław znalazł się w pierwszym z tych przypuszczeń i tak był zaciekawiony, że obserwo

wana dama spostrzegła to dziwne przypatrywanie się swej osobie, i wskutek tego zachmnrzyła czoło, dając do poznania, że ta obserwacja wcale jej się nie podoba...

Gdy dano znać, że kasa otwarta, Bolesław podążył za ową panią i kupił bilet drugiej klasy, podobnie jak nieznajoma. Przy wejściu na peron szedł za nią krok w krok i gdy zażądała przedziału dla niepalących, wsunął konduktorowi papierka w rękę, aby dla niego znalazło się miejsce w tym oddziale. Nie udała mu się tylko chęć usłużenia, z jaką chwycił za torbę podróżną damy, aby ją ułożyć na pulce wagonowej, bo pani z marsową miną nie wypuściła jej z ręki, ale położyła obok siebie na ławce.

W przedziale tym nie było więcej osób, choć w głębi wagonu drzemały jakieś dwie poważne damy, a nie młody już kanonik odmawiał z brewiarza poranne modlitwy.

Nieznajoma blondynka bardzo przyjemnych rysów twarzy, którą prócz wielkich niebieskich oczu, ocieniały na czole z pewnem zaniedbaniem rozrzucone loczki, nie mogła usiedzieć na swoim miejscu. To wydobyła z podróżnej torby cukierki, chrupiąc je szybko jak młody królik, to zdjęła kapelusz i przeczesła włosy, patrząc się w małeńkie składane lusterko, to wstała przybliżając się do okna i chustką obtarłszy czoło, rozpatrywała się w okolicy. Bolesław jakby odurzony, że

Opiekunowie wdowca, studenckiem, że tak się wyrażę, zagapieniem, nie spuścił z niej oka, a gdy się przysunęła do okna, przybiegł pytając, czy nie życzy sobie otworzyć.

—• Nie, dziękuję — odpowiada żywo nieznajoma.

Ten głos, ta modulacja jeszcze bardziej za- ambarasowały Bolesława: był pewny, że ją zna, lecz nie śmiać zaczepić, usiadł znów w kąci i łamał sobie głowę nad przypomnieniem.

Tymczasem i pani sprzykrzyło się wyglądanie oknem, zajęła przeto swoje miejsce, wydobyla książkę i zaczęła czytać... Ale, czy żywość jej temperamentu, czy magnetyczny wpływ zatopionego w niej przez Bolesława spojrzenia, dość że i lektura nie szła porządnie; to odkładała książkę na bok, to znowu ją podnosiła do oczu, a przytem nie patrząc niby na swego towarzysza — widziała jednak badawczą jego obserwację.

— Proszę pana — odezwała się naraz, oblewając Bolesława oburzonym wzrokiem — dlaczego mi się pan tak przypatrujesz?

— Darujesz pani — odpowiada przysuwając się naprost jej siedzenia — ale twarz pani tak mi jest gdzieś znaną i dobrze znaną, a w żaden sposób przypomnieć sobie tego nie mogę...

— Bardzo wątpię — rzecze prędko — nie jestem z tych stron, zresztą ja nie znam pana zupełnie.

— Pozwoli pani zatem, że jej się zaprezentuję...

- Dziękuję, nie jestem ciekawą; proszę tylko, żebyś pan dał mi pokój z tą obserwacją!...
 - Czy to pani przeszkadza, że jej się przypatruję? A zresztą trudno mi tego zabronić, i kazać, żebym utkwiał wzrok mój np. w suficie tego wagonu...
 - Ja też nie zabraniam, ale proszę — mówi uśmiechając się lekko, i to z widocznym zamiarem drażnić swego towarzysza podróży...
 - Jako nieznajoma, za wiele pani wymagasz od również nieznajomego człowieka. Cóż ja zrobię ze swojemi oczami?
 - Rozglądaj się pan w okolicy.,.
 - Znam ją zanadto dobrze...
 - Czytaj pan książkę.
 - Nie mam...
 - Ja panu pozwolę mojej, bardzo zajmująca
- Historia cywilizacji Europy, Drapera...
- Nie zaprzeczam, że zajmująca, ale racz mi pani powiedzieć, dlaczego zabraniasz mi patrzeć na siebie?
 - Bo nie lubię tego...
 - Czy dla wszystkich mężczyzn jesteś pani tak despotyczna?
 - Dla wszystkich.
 - Nawet dla męża?
 - Dla męża? — powtarza uśmiechając się blondynka — pan widocznie podstępny sposobem

chciałbyś się dowiedzieć, czy jestem zamężną? ale ja znam się na tem.

— Czyż taka ciekawość zbrodnią? gdybyś pani mię zapytała w ten sposób, odpowiedziałbym natychmiast.

— Nie jestem tyle ciekawą, choć sądząc z miny pana gotowam za niego odpowiedzieć...

— Otóż teraz ja jestem zaciekawiony; proszę pani zechciej być moją wróżką?

— Pan jesteś wdowcem...

— Rzeczywiście zgadłaś pani.

— I obywatelem ziemskim.

— Tak jest. A nawzajem pozwól mi pani odsłużyć się wzajemnością.

— I owszem, mów pan, ciekawa jestem, czy pan posiadasz talent dostrzegawczy ?

— Pani jesteś zamężną i to niedawno...

Roześmiała się tylko blondynka — wydobywając pudełko z cukierkami...

— Więc nie? — pyta Bolesław.

— Proszę pana — rzecze podając mu cukierki — należy się panu słodka nagroda za doznany zawód i upokorzoną miłość własną. Już samo posiadanie tego pudełka powinno przekonać pana, że nie mam męża, bo mężowie zwykle nie myślą o takich prezentach dla żony...

— Prawda — mówi biorąc cukierek Bolesław — pokazuje się, że my zawsze będziemy uczniami Pań, co się tyczy domyślności... A jednak ja po-

winiębym zdać wyborny w tym względzie egzamin. Od czasu śmierci żony jestem pod opieką i edukacją aż sześciu kobiet.

— Tyle na raz 1 — pyta zdziwiona blondynka chrupiąc cukierki.

— Może i więcej, bo trudno mi bez pomocy kredki wszystkie mamy, babcie, ciocie, wujenki itp. zrachować.

— Biedny pan jesteś... — rzecze na pół szyderczo towarzyszka.

— I jak jeszcze... — odpowiada wzdychając Bolesław. — Teraz właśnie jadę do Krakowa szukać sobie nowego ministeryum. Gospodyni i nauczycielka moich dzieci wczoraj podały się do dymisji.

— Doprawdy? — pyta rumieniąc się nieznacznie blondynka. — Szczególniejsze zdarzenie, że i ja po toż samo jadę do Krakowa... pomimowoli będę pana konkurentką...

— Bardzo się cieszę z tego wypadku, bo liczę, nie odmówisz mi pani swej rady...

— Pan zapewne potrzebujesz młodej osoby?

— Nie, nie... broń Boże..

— Czy boisz się pan młodych guwernantek?

— Jak ognia.

Nieznajoma uśmiechnęła się tylko ironicznie.

— Ja przeciwnie szukam młodych...

— Ja znowu W pewnych latach, ani starej bardzo ani młodej, jednak w takim wieku, żeby już nie miała żadnych pretensyj...

— Do kogo? — pyta mierząc Bolesława lekceważącym spojrzeniem.

— Do świata, do zabaw...

— I zapewne do pana? Dziwna rzecz jak wszyscy panowie jesteście o sobie zarozumiali. Ile pan masz dzieci?

— Pięcioro... — odpowie zakłopotany towarzysz.

— Ależ to cała pensja! No, nie masz pan czego się obawiać!

— A jednak doświadczyłem od obydwóch...

— Żartowały z pana i nic więcej...

— Na seryo mówię pani, byłem atakowany. Jedną protegowała familia zmarłej żony, drugą moja familia. Więc żeby tego na przyszłość uniknąć, postanowiłem teraz być neutralnym i sam się rozporządzić...

— Neutralność jest najdogodniejszym położeniem, pozwala być niczem.

— Pani jesteś trochę złośliwą — rzecze z pewnym żalem Bolesław — jednak postaw się pani w moim położeniu z pięciorgiem dzieci.

— I z męską nieporadnością. Dla nas pięcioro dzieci jest drobnostką, ja mam więcej...

— Nie może być? — pani tak młoda.

— Zdaje się panu.

Nastąpiła chwila milczenia, w której zasepiło się oblicze Bolesława, gdy przeciwnie nieznajoma z ledwo dostrzeżonym uśmiechem patrzyła na jego zasmuconą minę... Poprzednia wesoła rozmowa już jakoś skleić się nie mogła, ale za to nastąpiły dopytywania się o kantory nauczycielskie w Krakowie, warunki na jakich zawierają się tego rodzaju umowy, tudzież plany dzisiejszej edukacji pańienek. Nieznajoma okazała w tem wszystkim zupełną znajomość przedmiotu, dowodziła jasno, praktycznie, unikając skrajnych pojęć, jakfe niektórych pedagogów teraz opanowały. Przy takiej gawędce pan Bolesław, nie wiedząc o tem, wynurzył się przed nieznajomą ze wszystkimi trapiąciami go kłopotami domowemi tak, że zbliżając się ku Krakowa ona już wiedziała wszystko, a on przeciwnie nic.

— Panie Bolesławie...

— Zkąd pani wiesz, że jestem Bolesławem? - zawoła nasz wdowiec, robiąc wielkie oczy.

— Zdaje mi się, że pan wspominałeś to imię...

— Nie...

— Jednak tak mi się zdawało. Wszak panu Bolesław, prawda? A jeżeli nie słyszałam, to instynktownie odgadłam. Widzisz pan, jaka ja jestem jasnowidząca, choć prawda, spojrzawszy na pana bolesną fizyonomię, trudno mu dać inne imię...

Jednakże mimo przebiegłego tłumaczenia się nieznajomej, w duszy Bolesława odżyło znów prze-

konanie, że ta kobieta nie jest mu obcą, i że musi go znać od dawna. Zaczął tedy przypatrywać jej się uważniej, tonąc w mgle przypominali.

Pociąg minął już ostatnią stację przed Krakowem, nieznajoma zaczęła zbierać swoje pakunki i poprawiać ubranie, gdy zrozpaczony Bolesław przemówił do niej błagalnie:

— Zrób mi pani tę łaskę i powiedz, kto pani jesteś ?

— Na co to panu ?

— Mam przeświadczenie, że znam ją, i że również dla pani nie jestem obcym.

— Przypuśćmy że tak jest, ale że ja nie życzę sobie być poznaną.

— W takim razie — rzecze zirytowany Bolesław — daję pani słowo, że będę ją śledził dopóty, dopóki się nie wyjaśni moja wątpliwość. Chcesz pani się narazić na podobne prześladowanie ?

— Hola mój panie, zaczynasz grozić! — rzecze również energicznie rumieniąc się kobieta — potrafię zuałość obronę.

— Pani jesteś nielitościwą!

— A pan niegrzeczny... Nie wiem, z kąd wzięła się w nim ta energia — mówi jakby do siebie uśmiechając się złośliwie nieznajoma. — Pamiętasz pan dawne czasy, jak to musiałam cię bronić, Sty ci pudel nasz podwieczorek odbierał...

— Panna Rozalia Winnicka! — krzyknie Bolesław chwytając za rękę nieznajomą. — Więc to pani jesteście Rózią, którąśmy wszyscy kochali?

— I której dokuczaliście ile można — rzecze ściskając mu rękę towarzyszka. — Szczególniej pan, ten blady mazgaj Bolesław... ten dokuczliwy..

— Że ja też pani nie mogłem poznać— Ale skoro tak, powiedz że mi pani, co robisz w tych stronach, jak się jej powodzi, gdzie panią mogę widzieć ?

Tymczasem pociąg stanął w dworcu, i zaczęło się wyładowywanie pakunków. Bolesław był uszczęśliwiony nad wyraz, serce mu drżało, a zapomniawszy o swoim tłumoczku, usługiwał pani Rozalii, jakby nikogo więcej prócz niej nie widział na peronie.

— Pozwoli pani, że ją odwiozę do hotelu ?

— Ja mieszkam u brata.

— U Seweryna? Tak jest u niego. Czy pan nie spotkałeś go kiedy w Krakowie?

— A to& to dla mnie prawdziwa niespodzianka odnaleźć naraz przyjaciela i...

— Dokończ pan i przyjaciółkę... pozwalam, bo rzeczywiście byłam taką dla pana.

Wśród nieopisanej radości i wesołej urywanej rozmowy, zajechali nasi znajomi do mieszkania pana Seweryna, którym jak w niniejszem opowiadaniu ma honor być autor, uniżony sługa czytelników.

Rokowanie o skład nowego ministerstwa.

Muszę pokrótce obznajomić czytelnika ze stosunkami znajomości naszej z panem Bolesławem. Stosunki te datowały się jeszcze z czasów szkolnych, kiedy ojciec nasz, profesor szkoły powiatowej w jednym z pomniejszych miasteczek w królestwie, przyjmował uczniów na stół i stancją. Bolesław był właśnie takim stołownikiem naszym przez cztery lata, i przy nim umarła nasza matka, po której zarząd całego domu i gospodarstwa objęła czternastoletnia Róża, najstarsza z sióstr moich.

Dziś może to dziwnein się wyda, że taka młoda dziewczynka, potrafiła na swoich barkach znieść cały ciężar zarządu dość licznej rodziny i kilku obcych stojących na stancyi. Jednak trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, że wszystko szło jak najlepiej, a nawet, jak ojciec wspominał, lepiej niż za życia matki. Ojciec nasz był to pedagog z powołania; wiedział, co ma jutro wyklądać z ge-

ometryi w trzeciej klasie i że na pierwszego każdego miesiąca miał prawo potraćić sobie z pensyi sześć złotych polskich na tabakę, a resztę oddać do dyspozycyi matki. Pilnował nauki swych pupilów, gasił nam świecę o pół do jedenastej w nocy, a budził o piątej z rana, nie pozwolił się lampartować i przed wyjściem do szkoły słuchał nas wszystkich lekcyj, jakie na ten dzień były zadane. Ale co będzie na obiad, czem płacić za drzewo i komorne, kiedy komu co sprawić i jak sprawić, to należało do matki, a po jej śmierci do Rózi. Siostra moja rzeczywiście była nad wiek swój obrotną i energiczną dziewczyną. Sama pobierając prywatne lekcye, musiała pamiętać o wszystkim w domu, a co było najtrudnijszem zadaniem, opędzać się sześciu chłopakom starszym od niej, którzy jak wszyscy w latach przejściowych chłopacy byli nadzwyczaj niesforni i dokuczliwi. Otóż i na tym punkcie muszę jej przyznać, umiała dać sobie radę i trzymała w ryzach nietylko obcych, ale i nas dwóch braciszków najczęściej buntujących się przeciw jej władzy.

Śmierć ojca i burze życia rozpędziły nas niedługo na wszystkie strony świata za chlebem. Idąc za przykładem ojca rzuciliśmy się jak to mówią do belferki: jestto zaiste najprędszy, ale i najniewdzięczniejszy u nas zawód, żywi to prawda, ale tylko tyle, aby nie umrzeć z głodu. Eózia dostała miejsce guwernantki gdzieś na Wo

łyniu i trafiła szczęśliwie. Pokochano ją, szanowano, a gdy skończyła edukacją n jednej rodziny, rekomendowano ją do drugiej, a lata biegły szybko przy pracy i pierwsza młodość minęła, i nie znalazł się nikt, króroby jej ofiarował swą rękę i serce, życzliwość i opiekę małionka. Nareszcie sprzykrzyła jej się ta wędrówka po cudzych kąatach, zapragnęła już raz mieć swój dom, a do tego nie było innego środka jak założenie w je-
dnem z miast większych pensjonatu żeńskiego.

Po wspólnej naradzie ze mną postanowiono, że ja postaram się o translokacją do tegoż miasta, a ona zda potrzebne egzamina, i tak razem pożegnawszy wszelkie inne nadzieje, dokończymy wspólnie naszego żywota.

Otóż w chwili, gdy Bolesław zawitał do nas, już translokacją miałem w kieszeni, lokal najęty, pomoc naukową dla przyszłego pensjonatu zapewnioną, a tylko szło o przesiedlenie się z Krakowa, kupno niezbędnych mebli i zwerbowanie dwóch guwernantek na korepetytorki.

Eózia, mimo że wygląda na lat dwadzieścia kilka, rzeczywiście ma trzydzieści i trzy, ale trzyma się jeszcze bardzo młodo i może się podobać. Dla mnie jest ona jedną z najprzyjemniejszych i najlepszych kobiet jakie znałem, aleć trudno mi być innym sędzią własnej siostry. Ma także i wady swoje, ma: jest okropnie hałaśliwą,⁵⁵ mężczyznami trochę za poufałą, tnie im prawdę

Opiekunowi@ wdowca,

ze złośliwym dowcipem, a znowu jak przyjdzie do mnie, to mi takiego narobi rozgardyaszu w mieszkaniu, że przez trzy dni następne nie mogę dojść ładu i składu z moimi papierami i rzeczami. Szczególniejszą predylekcyą ma do kurzu pajęczyny. Od samego rana wielka szczotka na kiju i mała ręczna jest w robocie; przewraca mi wszystko na biurku, poobciera zapylone nosy Mickiewiczowi i Słowackiemu, zrewiduje komodę, wyrzuci wszystko ze szafy, i cały dzień boży usługujący stary Walenty tylko wynosi na podwórzec meble i trzepie, słowem do samej nocy słyszę miarowe uderzenia kijem, który niezmeńczony po- czciwina co chwila przekłada z ręki do ręki.

— No teraz masz już jaki taki porządek — rzecz siedząc zmęczona na kanapie.

— Czuję też to czuję...

— Ale nie będzie móli. Jeszcze musisz mi zdjąć firanki, ja nie dostanę tak wysoko; każę uprać, a jutro wymyję podłogę w przedpokoju.

— Róziu — mówię błagającym tonem — daj pokój tej podłodze, jeszcze czysta.

— Nic nie pomoże mój kochany! Ty jesteś tak niedbały i leniuch, że nie długo sam porośniesz mchem jak te posągi przed kościołem św. Piotra. Fe, jak wy mężczyźni jesteście nieporządni... patrz jakie to szyby... Walenty, pójdźno tu ze ścierką...

_____ ^^ggrnm
Opiekunowie wdowca.

Tym razem z powodu przyjazdu Bolesława, który kilka razy dziennie przybiegał do nas, tylko mniejszo porządkowanie miało miejsce.

— Proszę pana — rzecze mu na trzeci dzień Rózia — czemu pan nio szukasz guwernantki?

— Szukam.

— Pięknie pan szukasz przesiadując po całych dniach u brata... Ja już mam zamówioną Niemkę, wcale przystojna dziewczyna, i zaręczam spodobała by się panu... brunetka z czarnymi oczami.

— Przepraszam — nie lubię brunetek.

— A żona pańska jaka była?

— Tak niby szatynka niby brunetka...

— A widzisz pan, jak ja znam jego gust...

— Powiedziałem paui, że nie cierpię brunetek! Od dzieciństwa zawsze marzyłem o szafirowych oczach — rzecze Bolesław przypatrując się oczom Rózi.

— Widocznie chcesz pan powiedzieć mi komplement... Panie Bolesławie daj pokój ja już nie jestem do tego.

— Jakto, miałabyś pani wyrzec się nawet chęci podobania się.

— Dawno się wyrzekłam.

— O niczem pani nie marzysz?

— Owszem marzę o swoich przyszłych uczennicach, o tem jak im wyłożę jeografię, jak urządzę maleńki ogródek botaniczny, aby ich nauczyć poznawania roślin... Ale a propos, nie mógłbyś \j 10*

mi pan pora dzid, gdzie tu można dostać pewnych nasion ?

— Ja pani dostarczę; mam śliczne kwiaty na wsi, mam cieplarnię...

— Dziękuję panu, zrobisz mi wielką łaskę i dobrodziejstwo, choć doprawdy, należy mi się od pana wdzięczność. Pamiętasz pan jak mu zawsze smarowałam grubiej chleb z powidłami niż innym ?

— Pamiętam — rzecze rozpromieniony Bolesław — i o to właśnie był spór z Sewerynem; zawsze mi odbierał mój chleb, a dawał mi swój nadjedzony... Pamiętam, pamiętam, miałem wtenczas łaskę u pani.

— Bo przyznaj, byłeś pan ogromny niedołęga i mazgaj... Już kto gdzie płacze, to Bolcio... kto stłknął talerz, Bolcio, komu pies wyrwał chleb z ręki — Bolciowi...

— Prawda, że taki byłem i podobno takim zostałem do dziś dnia — rzecze z westchnieniem nasz wdowiec. — Ot i teraz nie wiem co robić z tą guwernantką. Matka żony, u których tu mieszkam, koniecznie chce mi napowrót narzucić konsyliarżowę... bronię się jak mogę, lecz widzę niestety, że się nie potrafię oprzeć.

— Czy i Kłocię? — pyta śmiejąc się Rózia.

— O Kłoci nie ma mowy, ale ją zwiożą, jestem przekonany, że zwiożą na powrót... Już niechby była jaka bądź, byle nie konsyliarżowa, bo jak

■BSN

Opiekunowie wdowca.

się dowie o tem matka i siostra, będę miał piekło, istne piekło w domu...

— Czy mama pańska zawsze jeszcze taka żywa i gospodarna... i czy psuje tak samo szynki jak te, które nam w prezencie przysyłała?

— Zupełnie taka sama...

— I płótna robi i te sławne ręczniki, które drapały twarz do krwi...

— Mam ich nowy zapas...

— Chciałabym też widzieć ją jeszcze kiedy! Poczciwa, zacna kobieta, kochała pana jak żadna matka więcej kochać nie potrafi...

— Sądzę, że pani nie odmówisz mi tej łaski i przyjedziesz kiedy z bratem do Skalic na parę dni... Wierz mi pani, będzie to dla nas łaska nad łaskami...

— Nauczyłeś się pan być wielkim galantem, jakie masz oryginalne wyrażenia...

— Pani to tylko lubisz szydzić ze wszystkiego — rzecz markotnie Bolesław — jednak powiem otwarcie, spotkanie pani, spotkanie Seweryna, tych drogich mojemu wspomnieniu osób z najszcześniejszych lat życia, tyle mi robi przyjemności, tak mię ożywia, dodaje nowego bodźca, energii...

— Tylko nie względem Klingerowej, prawda?

~² nią nie mogę, jak panią szanuję, nie mam odwagi.

— A wstydz się pan, pan mężczyzna — rzecze powtarzając żywo panna Rozalia — proszę mi wierzyć, że nie mogę się patrzeć na talde niedo- ężtwa i brak odwagi u mężczyzny... Gdybym na- przykład ja miała takiego męża niezdecydowanego, musiałby mieć swoją wolę i energię... Ale przepraszam pana, zapominam się... proszę daruj memu uniesieniu — kończy podając rękę zawstydzonemu wdowcowi...

Otóż w ten sposób mniej więcej prowadziła się rozmowa między siostrą moją i Bolesławem, za każdą jego bytnością. Nie byłem ja rad bardzo tym częstym wizytom, bo to ludzie ludźmi, będą gadać, zwłaszcza ci Klingerowie, których znałem trochę spotykając parę razy w tutejszych towarzystwach. Zresztą powiem prawdę, przeszkadzał nam w załatwieniu sprawunków, jakie jeszcze do urzędzenia przyszłego pensjonatu porobić wypadało. To nas jednego dnia wyprowadził na spacer gdzieś za miasto, to przyniósł bilet do łoży w teatrze, to prosił Rózię, aby się rozmówiła z rekomendowaną mu nauczycielką, to proponował fotografowanie się razem na pamiątkę, słowem przeszedł tydzień cały na tych zabawach i sprzeczkach i rozmowach, a ja nie miałem czasu arkusza powieści napisać.

— Moja Róziu — odzywam się jednego wieczora, gdy Bolesław żegnał się z nami — jutro koniecznie musimy kupić meble. Ozas myśleć o

przeprowadzaniu się; ty niby taka energiczna, a jakoś nie bardzo ci pilno.

— Dobrze, masz rację, jutro o dziesiątej idziemy do składu — rzecz jakby zamyślona. — Dziękuję ci żeś mi przypomniał...

Cały poranek zajęliśmy spisywaniem potrzebnych krzesel, stołów, szaf, umywalni i innych sprzętów. Mazaliśmy, przepisywali, stawiali ceny przypuszczalne, aż nareszcie stanęła decyzja. Ja byłem gotów do wyjścia, Różia przypinała woalkę do kapelusza, gdy wpada zadyszany Bolesław.

— Czy kupiliście już państwo owe meble?

— Nie, właśnie idziemy do składów...

— Dobrze, bardzo dobrze, zatrzymajcie się; możecie kupić wszystko, co wam potrzeba za bezcen...

Dowiedziałem się, że jedna pani, znajoma Klingerów, wyprowadza się do Warszawy i wyprzedaje takie rzeczy za bezcen... Jutro dostanę spis tego wszystkiego i ceny...

Wiadomość ta była dla nas bardzo pożądaną, bo nie mieliśmy zaudyto do wydawania, więc odłożono wycieczkę na kiedyś indziej, a natomiast zaprosił nas kolega do zwiedzenia salin w Wieliczce.

— Ach to dobrze! — zawołała Różia — dawno sobie życzyłam zwiedzić te sławne podziemia. Bardzo panu wdzięczna jestem za tę propozycję... Wyjeżdżamy z Krakowa w dalekie strony, może nie prędko tu znów będziemy... zg-oda, jedźmy do Wieliczki...

Zwiedzałem wprawdzie kilka razy te saliny,

lecz skoro sobie siostra życzy, a jakoś nie wypada dwojga samych puszczać na te podziemne wycieczki, więc rad nie rad powlókłem się z niemi. Od kilku lat cierpię już ból w nogach, szczególnie jak się ma na slotę, nie mogłem więc tak biegać po schodach jak moi towarzysze. A tu jak na złość osób zwiedzających było dosyć, palono ognie bengalskie tamujące oddech wyziewami, a mojej Rózi ma się rozumieć z namowy tego so-wizdrzała zachciało się być wszędzie, i pływać po jeziorze, drapać się po wysokich trzeszczących galeryach, więc niech was tam licho porwie, latajcie a ja nie myślę chodzić za wami. Usiadłem tedy w sali, gdzie urządzono bufet, i czekałem aż wróca...

— Eh, może i źle zrobiłem, pozwalając im tak bujać wśród tych ciemności — pomyślałem zapalając cygaro. Coś ten Bolesz zanadto mi się kręci koło siostry. Dyabeł nie spi, gotów się zakochać... Naprawdę ta przyjaźń z tytułu dawnej znajomości, zaczyna być podejrzana, szkoda... że jozwoliłem! Ale znowu biorąc tę rzecz z drugiej)trony — medytuję dalej — Rózia zanadto jest rozsądna, aby się dała zwieść takim nadskakiwaniem, lokal na pensyą najęty, ja mam już trans- .okacją... pozwolenie na otwarcie pensyi wyro- none... Nie, nie, ona się nie da namówić, gdzie ej tam myśleć o jakimś kochaniu... Złota kobieta,

liW

jestem przekonany, że jej wywietrzały już wszelkie marzenia o miłości, o zamążpójściu, jeszcze za •wdowca z pięciorgiem dzieci....

Uspokojony w ten sposób siedziałem sobie popijając okocimskie piwo przy bufecie i myślałem o tem, czyby się nie dało napisać jakiej powiastki o tych opiekunkach Bolesława... Rozpy- tam go się jak to było i dalibóg będzie wyborny szkic obyczajowy. Z takich rozmyślań przeszedłem do innych, i jeszcze do innych, a mojej pary ani widać. Coś długo zwiedzają... coś... i zacząłem się niepokoić naprawdę: Nareszcie zmuszony byłem pożyczyć sobie od bufetowej panny chustki do okrycia, tak bowiem zziąłem w tych podziemiach; zjawili się wreszcie zbiegowie w nadzwyczaj we- sołem usposobieniu tak, że te ich chichotania przyprawiły mię o irytację. Komu to, komu; dwojgu podstarzałym już ludziom zabawiać się w jakieś studenckie pustoty! Muszę temu położyć koniec jak najprędzej i przyspieszyć wyprowadzenie się z Krakowa.

Wróciwszy do domu, w bramie pożegnałem sucho koleżkę, mimo że Różia szeptała mi, aby go zaprosić na herbatę.

— Jestem zmęczony — powiedziałem jej wchodząc do mieszkania — a on by marudził jeszcze ze dwie godziny...

— Ale to niegrzecznie z twojej strony, kogoś tak zostawiać przed bramą.

— Coś pani za nadto znowu chcesz być dla niego uprzejmą.

— Dla wszystkich jestem taką, jeżeli przyjmuję od nich wzajemnie grzeczności...

Nie byłem w humorze, więc i rozmowa nasza skończyła się na tem.

Na drugi dzień patrzę, moja Rózia chodzi coś zamyślona. Do kawy zapomniała mi wrzucić cukru, zjadła mój maślany rogatek zamiast bułki, a potem myk do swego pokoiku zamknąwszy drzwi za sobą.

— Jakże z temi meblami? — pytam przez zedrzwi.

— Przyjdzie tu o dziesiątej pan Bolesław, to przejrzymy jego notatkę, a jeżeli się co przyda, pójdziemy obejrzeć.

— A jakże z temi guwernantkami? — pytam dalej.

— Jeszcze dość czasu...

Widzę zły humor mojej pani, nie zaczepiam tedy więcej a chodzę po pokoju dumając, jaka może być tego przyczyna.

— Czyś ty niezdrowa Rózia? — pytam po chwili również przez zedrzwi.

— Jestem zdrowa.

— A czegoż się tak zamykasz?

— Mój kochany, nie nadź mię — zamykam się, bo chcę być samą...

Opiekunowie wdowca.

— Co jej jest, co jej jest! — myślę, gdy w tem pokazuje się we drzwiach Bolesław, ale w tak wesołym usposobieniu, taki czuły i całujący, jakby przynajmniej wygrał wielki los na saskiej loteryi.

— Masz ten spis mebli? — pytam go po chwili.

— Mam, mam, ale niekompletny jeszcze.

Usłyszawszy głos Bolesława, wyszła i moja zadąsana magnifika, ale tak czegoś dziwnie rumiana i nieśmiała, że doprawdy przestraszyłem się o jej zdrowie.

— Siadaj no Sewerynie — rzecze kolega — mam z tobą kilka słów do pomówienia.

— Czy o tych meblach?

— Tak, tak o meblach, otóż ja radzę, żebyście państwo dali pokój temu wszystkiemu.

— Czemu! — pytam zdziwiony.

— No, tej pensyi, tym meblom, guwernantkom et c et era...

— Ciekawy jestem, dla czego?

— Bo to nie jest odpowiedniem dla panny Rozalii... Nie godzi się tak młodej kobiety skazywać na kłopoty, niepewność, wyrzeczenie się wszelkich przyjemności familijnego życia...

Spojrzałem mu prosto w oczy — spuścił je ku ziemi; spojrzałem na Rozalię — toż samo...

— Więc i ty Róziu jesteś za tem? - pytam po chwili.

— To jest... uważasz... pan Bolesław... — bąka kręcąc się niespokojnie po kanapie.
— Cóż pan Bolesław, gadajcież?
— Co tam obwijać w bawelnę! — zawoła wstając żywo i chwytając mnie za rękę — oświadczyłem się pannie Rozalii wczoraj i przyjęła... Spodziewam się, że i ty nie będziesz miał nic przeciw temu.
— Róziu? jakto, przyjęłaś? Kiwnęła tylko głową...
— A niechże was Bóg kocha, jakiegoście mi 'figła wypłatali! Fe, wstydź się Róziu, nigdy się Lego nie spodziewałem po tobie... Ty taka lekce- lycząca wszelkie uczucia osobiste, żartująca z nad- lkakiwań mężczyzn i wszelkich matrymonialnych Irojktów... tak od razu, w kilka dni... Doprawdy [hyba świat się kończy...
— A jeżeli ja w tem znajduję moje szczęście! — Izekła cichym głosem siostra.
I — Moja kochana — mówię zirytowany tą lek- lością kobiecą — przed tygodniem słyszałem o lkiem samem szczęściu, jak będziesz ochmistrzy- ią pensyi...
— Właśnie — dorzuca Bolesław, że tu jedno drugie złożyło się razem. Moje pięcioro dzieci > już tak jak pensya... Ale czegoż będziesz ma- ldił Sewerynie, czego masz jęczyć i trzeć łysinę... »kt spełniony i kwita!

nu

— Dobrze tobie mówić fakt spełniony — rzeknę poruszony do żywego. — A. ja co? Ja który się już rozkoszowałem wspólnem pożyciem i swoim domem... ja co teraz będę robił, mając translokacją w kieszeni? Fe, to brzydko z twej strony panno Rozalio, nie spodziewałem się nigdy, że dasz się złapać na piękne słówka...

— Przepraszam cię mój drogi — mówi Rozalia biorąc go za obie ręce — ale ja go Kocham...

— No... to mi racya!... Wielka rzecz że go Kochasz, a ja to cię nie Kocham?... No, no... prędzejbym się Bóg wie czego był spodziewał...

— Mógłś się spodziewać, ty autor, powieścieo- pisarz... - dorzuca śmiejąc się Bolesław. — Nie dąsaj no się i nie bądź egoistą. Drugich nauczasz, zachęcasz do ofiar, do poświęcenia swych osobistych przyjemności, a jak idzie o ukochaną siostrę, to nie masz dla niej nic prócz wyrzutów...

Cóż tu było mówić? Miała racya; rzeczywiście osobisty zawód i zniweczone marzenia zrazu wzięły górę nad głosem rozsądku i życzliwości dla siostry... Zgodziłem się więc, ucałowałem obojga, pobłogosławiłem jako brat starszy i spłakałem się niepotrzebnie. Czego ja płakałem? dalibóg nie wiem. Ale już mam taką babską naturę, że byle coś zalechtało po sercu, zaraz łzy zastępują rai oczy i nos mi się marszczy i dostaję tak fatalnie komiczną minę, że unikam wtedy spojrzenia

w zwierciadło, abym nie potrzebował gniewać się na siebie.

— Wszystko to musi być sza, cicho, tajemnicą — rozumiesz Sewerciu? — rzecze wieszając się na mojej szyi Rozalia — małżeństwo nasze będzie niespodzianką...

— Dobrze, dobrze — odpowiadam — tylko kochanie moje — nie ciśnij mi tak szyi, jesteś porządnie ciężka... widzę, że wzięliście na niespodzianki ... Że ja też głupi nic się tego nie domyśliłem! A niby to piszę powieści, niby znam serca ludzkie, znam kobiety...

— Przybędzie ci nowe doświadczenie — dodaje Bolesław.

— Tak prędko, raz, dwa, trzy, bez czułych spojrzeń, bez gruchań, bez preludy, kto to widział! Przyznam się, że jeżeli miłość takie ma teraz odbywać forsowne marsze, to daję wam słowo, kładę pióro, już widocznie się zestarzałem...

Wszystkie ceremonie ślubne odbyły się po nowemu, tak sobie z pogwałceniem wszelkich tradycyjnych zwyczajów. Bolesław jak kot zagorzały biegał po konsystorzach i innych biurach — prosił, nalegał, szturmował tak, że w kilka dni o ósmej godzinie z rana zaproponował ślub gdzieś tam w kościele na Skałce...

— Bierz kapelusz i chodźmy...

— Co, piechotą?

— Ładny czas — mówi Różia — przejdziemy się spacerem...

— Pozwólcieź mi niech się we frak ubiorę.

— A to na co 1 — krzyknie Rozalia — w tym tużurku daleko lepiej wyglądasz,, przynajmniej podług dzisiejszego kroju... Ten twój odwieczny frak granatowy, to wierz mi, dobry na strach dla wróbli...

Ponieważ wszystko szło nie po mojej myśli, i cały uświęcony wiekami porządek ludzie ci przewracali do góry nogami, więc niech was tam licho bierze, pójdę jak chcecie i zobaczę jak to postępowy świat zawiera teraz śluby małżeńskie.

Byłem, widziałem jak odbyli spowiedź, dobrze i to, bo mogli pójść do magistratu i bez spowiedzi — wysłuchali mszy świętej, a potem ksiądz pobłogosławił i rzecz skończona!

Tfu! — nawet się nie zająknęli wymawiając przysięgę, a Różia, jak pana Boga kocham, uśmiechała się zamiast płakać... Otóż tacy to dzisiejsi ludzie, takie skromne kobiety, gotowe w lesie brać ślub, aby tylko iść za mąż choćby za wdowca z pięciorgiem dzieci... Co im u pana Boga w głowach teraz siedzi? Letkiewiczze, nic więcej tylko letkiewiczze!

Tegoż samego dnia wieczornym pociągiem odjechał młody małżonek do domu. Już się nie dziwiłem ; mógłby wcale nie pokazać się więcej i

nie żądać przyjazdu żony a także bym się nie dziwił...

— A jakże będzie z wyprawą? — pytam na drugi dzień Rozalii — przecież wypada coś sprawić. Przecież z dwoma sukienkami nie pójdziesz do męża.

— Mówił że nie potrzeba, zresztą ja nie mam wiele do wydania, a od niego nie myślę żądać.

— Od czegoż ja jestem twoim bratem i opiekunem? Bój się Boga, nie róbże mi wstydu; masz tu te sześćset reńskich, które miały być na meble, idź do miasta, kup sobie co ci potrzeba.

— Chyba tuzin chustek od nosa — odpowiada mi wesoło — bo rzeczywiście połowę wygubiłam wśród tych podróży.

— Róziu, ty widocznie chcesz mię oszczędzać — proszę cię nie rób ceremonii, cóż mi po pieniądzech... Masz, weźże...

— Bolesław zakazał...

— Jakim on się zrobił despotą... no, no. A w pani skąd się wzięło takie posłuszeństwo? Czy i to należy do postępu, co?

m

Ustalenie rządu.

W trzy dni otrzymałem telegram, żeby odwieść siostrę do Skalic — „konie czekają na was przy stacyi kolejowej”, donosi Bolesław.

Pakujemy nasze manatki na gwałt, i to mię pocieszyło trochę, że Różia nagliła, aby prędszej... Dobrze, że jej pilno — myślę sobie.

— Tylko się nie wymów Sewerynie, że ja jestem jego żoną, broń Chryste Panie.

— A to co znowu?

— Jest w tem sekret, ot jedziemy poprostu odwiedzić Bolesława, jako dawnego znajomego... A metrykę ślubu masz?

— Mam, mam...

— Poświadczoną, jak polecił Bolesław?

— A jakże, z kilkoma pieczęciami...

Na ganku dworu, przyjął nas gospodarz jakby znajomych przyjaciół, Rózię pocałował w rękę, wysadził z powozu z całą dystynkcyą, a tuż zaraz

Opiekunowie wdowca.

w sieni porwały ją matka i siostra Bolesława w swoje objęcia. Mnie ulokowano w gabinecie gospodarza i dodano do usługi jakiegoś Maćka czy Wojtka, który mi zaraz na wstępie o mało nóg nie poobrywał zdejmując buty.

Nie byłem nigdy w gościnie u szlachty wiejskiej, coś raz tylko pamiętam jeszcze będąc studentem, w domu rodziców Bolesława, i to na wakacjach, gdzie więcej przesiedziałem w polu i w lesie niż w pokojach; teraz więc, ogarnąwszy się jako tako, gdym wszedł do salonu i zobaczył taką gromadę samych kobiet i dzieci, formalnie straciłem przytomność.

Coś z kwadrans rekomendował mi Bolesław obecnym damom: „to moja matka, to żony matka, to siostra moja, to siostra twoja, to panna Józefina, to jakaś Dulcynea czy coś podobnego, to Kapelusińska, to konsyliarzowa, to Wandzia, Jadzia, Tadzia i jeszcze ze trzy dziaA miłosierdzie Boże, w głowie mi się pokręciło, bo to wszystkie krzyczą a nie mówią po ludzku, myślałbyś, że się kłóca. Dzieci wieszają się sukien tych dam i szczebioczą, a chodzą, a kręcą się pukając obcasami — słowem, wieża Babel..

— Mój szwagier Jacenty! — rzecze Bolesław wydobywając gdzieś z kąta jakąś tłustą baryłę obywatelską, która wyjąwszy fajeczkę z buzi całuje mię i ścisła tak serdecznie i szczerze, że czuję, iż kości mi w plecach trzeszczą...

Stałem jak bałwan nie mogąc słowa przemówić, choć pocziwa Różia dodawała mi wzrokiem odwagi, a jakaś konsyliarzowa usadziwszy przy sobie, chwaliła moje prace powtarzając:

— Zachwycające, cudowne te pańskie obrazki...

Nareszcie usadzono nas przy stole, mnie dostało się miejsce obok babci Petroneli, na szczęście konsyliarzowa znalazła się na drugiej stronie poprzestając na adorowaniu mię oczami.

— W niezawodne ręce! — słyszę głos za sobą a pełny kieliszek wódki przed sobą...

— Nie pijam — mówię podnosząc oczy za siebie...

— Ależ to przed obiadem, koniecznie panie profesorze dobrodzieju.

— Nie mogę...

— Go to nie mogę, na wsi trzeba tak robić jak drudzy... Spróbuj pan, prawdziwa nalewka z jarzębiny, dziecko może wypić kwartę...

— Wypij, to bardzo zdrowo dla ciebie — szepcze Różia. Więc przewróciłem kieliszek zabierając się do jedzenia...

— Widzi pan dobrodziej — komunikuje mi babcia Petronela — to jest nalewka mojej własnej roboty. Nadzwyczaj skuteczna na wszelkie choroby żołądkowe...

— Dzięki Bogu, ja zdrow jestem...

— A słyszałam od siostry, że nogi...

u*

— Czasami reumatyzm mi dokucza — mówię — połykając wielkie pulpety pływające po rosole...
— Ja panu zaraz dam po obiedzie lekarstwo — mówi staruszka — które mojemu mężowi zawsze pomagało... Jestto spirytus mrówczany.

— Znam, znam, próbowałem...

— Ale to nie taki jak w aptekach, to zupełnie co innego... Spirytus musi być dwa razy dystalowany, a mrówki wybierane... do tego dodają się pączki brzozone...

Choć wódka kręciła mi już dobrze w głowie, jednak siliłem się, aby prowadzić rozmowę z babcią, zaprzeczając skuteczności owych pączków brzozonych.

— Co też pan mówisz — prawi staruszka — pączki brzozone to jedyne lekarstwo na wszystkie stłuczenia i rany. Wołam roboczym na odgucione karki nic tak nie pomaga, jak ten spirytus z pączków... Natrzeć wieczorem raz, rano drugi raz, i mogą chodzić dzień cały w jarzynie.

Instynktownie pomacałem mój kark, czy nie mam jakiego odgniecenia od jarzma, i dopiero ochłonałem z przestachu przypomniawszy sobie, że dzięki Bogu nie jestem wołem i nie będę potrzebował nacierania.

— Szczęściem trzeba było zaprawić do pieczeni sałatę z surowej kapusty, i babcia sama tę czynność wykonywała, bo to uwolniło mnie od dalszej medycznej dysputy, której ze względów fizycznego

oddziaływania na mózg jarzębówki, nie byłbym w stanie dalej prowadzić.

— Kieliszeczek wina Sewe:ynie! — woła znów nademną gospodarz, i mimo zakrywania ręką kieliszka, leje mi wino przez palce.

— Wypij panie profesorze, wypij — dogaduje tłuściutki pan Jacenty — jak Boga Kocham, to czysty Węgrzyn, sam go kupowałem w Sączu. Kieliszek wina po rosole, dukat doktorowi z kieszeni...

— Pan dobrodziej jest od Jacka czy od Anny? — pyta mnie coś w tym rodzaju druga moja sąsiadka również pulchna i wygorsowana panna Józefina...

— Ja pani łaskawa jestem od Seweryna... — mówię zwracając się ku niej z zamglonymi oczyma.

— Przyznam się, nie słyszałam o takim gi- mnazyum w Krakowie.

Spełniony kieliszek wina dobił mnie do reszty, i gdy ta pani powiedziała coś o gimnazyum, tak dalece pomieszało mi się w głowie, ten spirytus z pączków brzoźowych, te karki wołów zepsute od jarzma, ten Jacek z Anną, że w końcu zdawało mi się, że jestem w gmachu gimnazjalnym, a wszyscy otaczający mnie, młodzieżą chodzącą po moich korytarzach.

Pamiętam, że wstawałem raz pijąc zdrowie babci i pani Klingerowej, i że sąsiadka moja mówiła mi coś o egzaminach, żebym kogoś słu- chał... czy sam zdawał. Wstałem jeszcze raz krzyknąwszy zdrowie babci Zofii, ale już zamiast

usiąść na swoim krześle, usiadłem na kolanach wygorsowanej sąsiadki i gadałem jej coś z bardzo wesołą miną:

— O ja wyegzaminuję... słowo honoru wyegzaminuję !...

Pamiętam, że były jakieś krzyki, śmiechy i całowania, pamiętam jeszcze kieliszek szampańskiego... dalej, że wszystko tańcowało koło mnie, potem ściemniało mi av oczach, a gdym się obudził, byłem pewny, że śpię gdzieś w lesie związany przez zbójców, a w około brzęczą mi pszczoły nad uszami.

Różia podniosła rulety w oknie i przemieniła na czole świeżą chustkę zmaczaną w zimnej wodzie z octem.

— Cóż lepiej ci? — pyta niespokojna.

— Zdrów jestem — mówię przypominając wczorajsze wiwaty — tylko szum czuję w głowie i jakieś brzęczeucie... co to za gwar?

— To rozmowa i hałas dzieci w jadalnym pokoju...

— A ja myślałem, że to pszczoły...

Było już koło południa, kiedy Avstałem, lecz nie mogąc pozbyć się zawrotu, zostałem w gabinecie, dokąd zносиła mi Różia herbatę z cytryną.

Nie wiem dla jakiej przyczyny, wszyscy bawiący w Skalicach zrobili ze mnie wielkiego człowieka, i postanowili nie zostawiać mię na chwilę w samotności. Nie wspominając Bolesława,

który o ile mógł zaglądał do mego pokoju, kolejno miałem wizyty wszystkich bawiących w Skalicach, a każdy miał za obowiązek wynurzać się przedemną o swoich zmartwieniach, przedstawiać nieszczęśliwe położenie wdowca i jego dzieci.

Nicowaliśmy też kochanego Bolesława, jak to mówią z całym zamięłowaniem — po przyjacielsku...

— A powiadają ludzie, że pan masz tęgą głowę -- rzecze śmiejąc się serdecznie pan Jacenty. — Co mi to za głowa, która trzech kieliszków nie zniesie...

— Nie pijam nigdy...

— A bo też ten Bolesław wyjechał z szampanem ! Tfu, co oni widzą smacznego w tej miksturze? Już to trzeba przyznać, że mój szwagierek ogromnie pozuje na pauka... A szkoda go, ma panie szlachetne serce... Powiedz mi, na licha mu te kwiaty, te książki i jakieś niemieckie figle? — dodaje pokazując na barometry i inne narzędzia.

— Ależ — mówię — obserwuje pogodę...

— Głupstwo panie; co on z tego dojdzie... wymysły kuglarskie nic więcej; aby pieniądze głupiej szlachcie wyciągać z kieszeni, Ja panie tylko ci spojrzę na zachód, to już wiem jaka jutro pogoda... a jak mię zdrze w nodze, to ani chybi słota i nie każę żać...

— Nie wszyscy jednak chorują na reumatyzm..

— Bo nie piją... A szlachcic panie, co nie pije, nic nie wart... Co innego nczeni — dodaje po chwili w obawie, czym się nie obraził — ha, uczeni inna racya!... Ale szlachcic gospodarz mości dobrodzieju, powinien mieć darcie w nogach... To jego barometr!... Mój drogi, kochany panie, masz wpływ na niego, wytłumacz mu, tak rozumiesz uczenie... żeby on lepiej karmił woły... Jak Boga kocham szkielety a nie woły, niech on da pokój tym kwiatom... Zrób to dla mnie, panie profesorze...

Przyrzekłem, że będę się starał — pan Jacenty ucałował mię za to najczulej i poszedł.

Za chwilę, mam przed sobą pannę Józefinę...

— Pan profesor był łaskaw i przyobiegał mi wyegzaminowanie dzieci...

— Nie przypominam sobie, zresztą proszę pani, cóż ja mam do tego... jest ojciec...

— Eh... co tam ojciec — mówi robiąc lekceważącą minę — dobroci nieskończonej... choć do rany przyłóż, ale o dzieci zupełnie nie dba.

— Jakże też pani możesz tak sądzić?

— Mówię panu profesorowi najświętszą prawdę... ani się spyta, czego one się uczą, jak się uczą, co umieją? A przyzna pan profesor, że każdej nauczycielce przykro, jeżeli nikt nie widzi jej pracy.

— Prawda... — mówię, aby coś powiedzieć.

— Otóż widzi pan, że ja jestem w tem położeniu. Ile razy zaczepię pana Bolesława, to tak jakby mu kto mówił nie o jego dzieciach... a jabym przecież chciała, żeby ludzie wiedzieli co te dzieci umieją... Biedne dzieci... zawsze to tak bywa, jak nie ma w domu matki, a przynajmniej osoby, którąby to żywiej interesowało... Zrobi mi więc pan profesor tę łaskę... jest tu i jego familia i wszyscy na mnie patrzą, jak na kogoś, co darmo je chleb..

— I owszem, kiedy to robi przyjemność pani, wyegzaminuję..

Ledwie wyszła panna Józefina, gdy tuż za nią wchodzi pani Klingerowa.

— Kochany panie profesorze — mówi z całą otwartością pani Klingerowa, sadowiąc się po wyjściu Józefiny obok mnie na szesłagu — przychodzę do pana z całym zaufaniem.

— Co takiego, myślę sobie, czy jakie oświadczyzny będą? i odsuwam się delikatnie od jedwabnej sukni, okazując, że to zaufanie zaszczyt mi przynosi.

— Widzisz pan, co się tu dzieje?

— Gdzie?

— No tu u Bolesława...

— Nic nie widzę, jak panią szanuję, nie widzę...

— Jak to? nie domyślasz się, że jego familia gwałtem zmusza do tego, żeby się ozeuił z Józefiną...

- Nie spostrzegłem tej okoliczności...
- A bo pan nie jesteś kobietą...
- Rzeczywiście tak podobno jest...
- Więc powiedz pan sam, czy to dla niego stosowna partya, ale tak sumiennie?
- Zapewne... że nie...
- Rzecz prawie skończona... Straszne rzeczy, co ten człowiek wyrabia! Dobry, uczciwy, z naj- lepszym sercem, ale baba, formalna baba... Mój drogi panie — mówi dalej biorąc go za rękę i patrząc mu błagalnie w oczy — zrób to dla biednej babki, ot z litości nad temi nieszczęśliwemi dziećmi, odwiedź go od tego zamiaru... On by się zabił, on by się zrujnował — a dzieci poszłyby w poniewierkę... Widziałeś pan, jaki to porządek w domu, jaki ład... ta cielęcina niedopieczona...
- Sądzę, szanowna pani — odzywam się po chwili — że najlepiej zostawić jemu swobodę...
- Broń Boże, gdzież temu poecie marzącemu o chmurach można dać wolę jaką?... Cośmy mu nakładli w głowę, ja, mąż, notaryusz... a wszystko to jak groch o ścianę, coś kręci, wywija się... Miał taką porządną kobietę, widziałeś pan kon- syliarżową, prawda że porządna osoba?
- A, a, bardzo...
- Widzisz pan, to ją wygrzyli, a sprowadzili dwie naraz.
- Czyby jednak nie dało się... — mówię zamyślony.

— Żeby konsyliarzowa wróciła? — przerywa Bdi babcia Zofia. — I owszem, ona ma tak dobre serce, że gotowa zapomnieć wszystkiego dla dobra tych opuszczonych dzieci.

— Nie — rzekłem — ale jakoś porozumieć się wspólnie i coś uradzić...

— Wątpię — chyba żeby się zdecydował ożenić z inną. Ale gdzie mu tu szukać odpowiedniej żony...

— On sam sobie znajdzie...

— On, on? — chyba go pan nie znasz! Ożeniłby się, ale dla siebie a nie dla dzieci... Panie kochauy, tak mu pstro w głowie, że doprawdy choć to mój ukochany zięć, ale wstyd mi za niego. Więc proszę pana, wpływ na niego, pan człowiek rozumny, autor...

Powiedziałem ni to ni owo i ledwie że pozbyłem się babci forytującej konsyliarżowę.

Była jeszcze i babcia Petronela z córką w tej samej sprawie. Te obmawiały mnie Bolesława, lecz nie szczydziły konsyliarżowej i jej protektorów. A ja biedny człowiek musiałem to wszystko wysłuchać z całą powagą i cierpliwością a nawet przyznać, że panna Józefina i Czapczyńska jedynie mogą uratować od zguby Bolesława...

— Słyszałem, że obie nie chcą tu dłużej pozostać...

— Już się pogodziły — odpowiada rai babcia. — Cóż pan nie znasz kobiet? Dziś tak, jutro

tak... Powiem panu nawet — mówi ciszej babcia — że gdyby się z Józefiną ożenił, inaczejby i Czapczyńska śpiewała... Co pani w domu to pani... A sam pan przyzna, że on się bez żony nie obejdzie.

— A może nie ma do niej sympatii — pytam udając zainteresowanego — może serce gdzieindziej go ciągnie?

— Cóż to on młodzik lat dwadzieścia! — zawoła unosząc się staruszka — jemu trzeba matki dla dzieci, a nie żony...

Znowu zaproponowałem naradę wspólną a powtórzywszy to wszystko Rózi i Bolesławowi, wyraziłem obawę strasznej burzy opiekunów, jak się o prawdzie dowiedzą...

— Eh — odpowiada Bolesław — wszystkie moje barometry pokazują pogodę... kochana Rózia tak umiała podobać się tym niezgodnym żywiołom, że zobaczysz, wyjdziemy zwycięsko...

Na drugi dzień z rana zapowiedzianą została sesja opiekuńcza, do której i ja wszedłem z głosem doradczym... Należały do niej obie babcie, pan Jacenty i ja.

W przykrem znalazłem się położeniu to prawda; tajemne małżeństwo Rózi stawiało mię w fałszywej pozycji, z której mogłem tylko wyjść potakując głową na wszelkie argumenta z jednej i drugiej strony stawiane...

Nie będę nudził czytelników prowadzeniem protokołu posiedzenia, streszczę go w ten sposób, gdy powiem, że żadna ze stron przeciwnych sobie nie chciała wydać się ze swojemi planami, a biła w to, że tu idzie głównie o dzieci, którym potrzeba matki.

- Co tam długo gadać — konkluduje Jacenty
- trzeba Bolesławie, żebyś się ożenił i basta... inaczej nie dadzą ci spokoju do grobowej deski.
- Ale z kim? — pyta pani Kliugerowa.
- Ma się rozumieć z młodą, ładną, fertyczną...
- Tak — dorzuca babcia — może jeszcze z jaką hrabianką... wielką panią... Dalibóg wam mężczyznom to tak pstro w głowie, że i ty stary tylko byś o głupstwach myślał...
- No moja pani — rzecze z powagą Klinge- rowa — trudno też żądać, aby wziął sobie pierwszą lepszą...
- Któż mówi o pierwszej lepszej, ale kobietę w pewnym wieku, z taktem, z doświadczeniem...
- Tak o siedmdziesięciu latach...
- Proszę cię, nie dowcipkuj Jacenty, bo zawołam żony — mówi obrażona babcia Petronela... Weźmie młodą, to znowu pan Bóg da dzieci... a czy mało tych pięciorga...
- Eh, niech też pani nie mówi takiej rzeczy
- wtrąca zgorziona pani Klingerowa — da Bóg, to da...

— No, Bolesławie — pyta chodzącego po pokoju szwagra pan Jacenty, cóż decydujesz się ożenić, czynie? Ja sobie tylko wymawiam, żebyś mi żadnych spazmów nie sprowadzał... jeszcze dziś łeb mię boli od tej mikstury...

— A gdybym ja nie miał chęci żenienia się?— odzywa się Bolesław stając przed areopagiem.

— Musisz! — mówi zaperzona babcia Petronela.

— Jak to musi? — dorzuca ironicznie babcia Zofia...

— To któż mu zarządzi domem ?

— Może wziąć konsyliarżowę... Jużciż lepsza od wszystkich...

— Nigdy — woła wstawając z kanapy staruszka — tę co rozbijała dzieci... Ja na to nie pozwolę!

— Bajki...

— Nie bajki...

— To intrygi...

— Czyje?...

Od słowa do słowa zaczęły się sprzeczać obie babcie, ale tak żywo i seryo, że zrobił się porządny hałas w pokoju wśród którego wzajemne wymówki sypały się z gradem energicznych zaprzeczeń...

— Ja zaraz tę sprawę pogodzę! — woła Bolesław.

— Jak, jak? — pytają obie babcie.

— Nie chcę ani tej ani tej... — mówi z pre- cyzą, a otwierając drzwi sąsiedniego pokoju, bie

rze Rózię za rękę, prowadzi ją przed oblicza
jeszcze zagniewanych kobiet.

— Oto jest moja żona! — rzecze z ukłonem.

Zrobiła się cisza w pokoju... Obie panie naraz zauimiwały, a Jacentemu fajka wysunęła się z ust na podłogę...

— Facecye! — rzekła wstając z kanapy babcia Klingerowa — jednak wolę ten żart twój Bolciu, niż jakąś
zawieđlą i mizdrzącą się Józefinę...

— A ja natychmiast błogosławię — dorzucza z energią babcia Petronela, bo prędzej bym zniosła
kogobądź niż tę wymuskaną lafiryndę konsyliarzowej... Tak Bolciu, żeń się, ja twoja matka błogosławię...

— Dziękujemy! — odpowiadają oboje skłaniając się do nóg staruszki, która ucałowała ich głowy z praw
dziwie macierzyńskim namaszczeniem.

— Dobrze, dobrze... Bolciu — dodaje pani Klingerowa — panna Rozalia będzie dobrą matką dla moich
wnuczek, błogosławię wam z duszy serca...

— Niechże i ja cię uściskam ty nowy Salomonie! — zawoła Jacenty, obejmując rękami wraz z fajką
ojojga delikwentów...

— Czegóż mię trącasz tym cybuchem — rzecze odsuwając z przed nosa fajkę, którą w zapale całowania
trącał obok stojącą babcie Petronele... — Jak można być tyle nieuważnym...

Długo nie chciały wierzyć opiekunki, że to już po ślubie, dopiero odczytana metryka przekonała wszystkich, że tak jest rzeczywiście...

— No kto by to pomyślał — rzecze ucieszony Jacenty — że z ciebie Bolesławie będzie taki Bismarck. Fakt spełniony, nie ma co gadać, każ podać wina!

— To pan profesor urządził po autorsku całą tę komedię — rzecze z przekąsem Klingerowa — zupełnie jak w powieści... intryga, rozwiązanie... niespodzianka...

— Tylko bez honorarium pani dobrodziejko, bez honorarium! — dodaje kłaniając się z pokorą...

Za chwilę, wszystko co żyło we dworze zbiegło się oglądać nową panią — kobiety winały wymawiając życzenia z tą szczerością i precyzją, jak to one umieją, gdy potrzeba stłumić gniew w sercu a na usta przywołać uśmiech. Moja Różia udała jednak, że tego wszystkiego nie widzi, dziękowała i całowała zachmurzone damy, czy na prawdę, tego już nie wiem, bo dla studyów kobiecych charakterów, nawet rodzona siostra pozostaje dotąd niezbadanym lodowcem bieguna północnego.

Bądź co bądź najsmutniejszą rolę odegrał wasz unizony sługa kochane czytelniczki. Nikt nie chciał uwierzyć, że ja w całej tej sprawie byłem tylko Piłatem, czem więcej tłumaczyłem się o swej niewinności, z tem większą ironią patrzano mi w oczy i wzruszano z niewiarą ramionami. Nawet

panna Józefina, gdym oświadczył gotowość wysłuchania egzaminu jej elewek, rzekła mi z goryczą:

— W ©lec tak wysokiego rozumu i sprytu pana profesora, moje zdolności nauczania wydałyby mu się tak małemi, że lepiej podobno dać pokój wszystkiemu.

— Ot żebyś jej serduszko chciał zegzaminować profesorze — wtrąca śmiejąc się Jacenty — to rzecz inna...

— Pan profesor nie zajmuje się archeologią— dodaje złośliwie konsyliarzowa.

— Dla tego też nie jest członkiem żadnej akademii — mówi śmiejąc się Bolesław.

Wzięli mię na fundusz; widocznie żartowali ze starego profesora, a ten biedny profesor, któremu było bardzo dobrze siedzieć w Krakowie, nie wiedzieć za co i po co musiał znosić to wszystko i włączyć swoje mauatki gdzieś w zakazany kąć Podola, bo naznaczony na jego miejsce nauczyciel ani chciał słyszeć o powtórnej translokacji. Obiecuje mi wprawdzie* Bolesław robić starania, ale obiecanka cacanka a głupiemu radość.
KONIEC.